

ROMANOWSKI



POEZYE





M. ROMANOWSKI.

Tom IV.

POEZYE

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

JAN AMBORSKI.

TOM IV.



LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1883.



Z drukarni „Gaz. narod.“ J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

I.

Sestyny*).

(Finale).

Lećcie, me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę śród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei
Jak ptactwo wiosny okrzykiem nadziei.

Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam! — Lećcie, pieśni moje!

---

*) Tym wierszem zamknął poeta ostatni zbiorek poezyj wydanych za życia; kładziemy go na tem miejscu, bo jest jakby serdeczną przedmową, która powinnaby poprzedzać wszystkie utwory.

*

O! gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę!...
Żegnajcie, pieśni!... Przyszłość w ręku Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.

Jeźli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się jak mój duch unosi.

1862.

Chwila myśli.

Znużony jestem... trzykroć upadałem
Pod krzyżem pracy — skrawiony i drżący —
I trzykroć, trzykroć z upadku powstałem,
I uspokoił się duch bolejący...
Zadrzemał może jak pustyń wędrowiec,
Nim go zwierz zbudzi ryjący grobowiec.

Przeszedłem myślą takie straszne piekło —
Przez dzieje świata — snułem lat tysiące.
O Panie! pocóż tyle krwi wyciekło?
Poco pękały serca pałające?
Olbrzymy przeszli po tej biednej ziemi —
I skamienieli, jak od bolu niemi.

Może za wiele mieli Twego ducha —
Toż nie pojęci przeszli pośród tłumu;

Głos ich za silny dla ludzkiego ucha,
Podobien gromom, lub do morza szumu —
Wołali: wolność! — i rozdarli łona...
Padli! — dziś stoją posągi — imiona.

Ciała ich w ziemi — duchy gdzieś daleko
Błądzą po gwiazdach — cierpliwi tułacze.
Kiedyż ich grobów rozpęknie się wieko?
Panie! czyż nigdy nie dojdą cię płacze?...
O ześlij — ześlij — proroki — Mojżesze,
Niech w kraje światła zaprowadzą rzesze.

Tam żale sierot — a tu kajdan brzęki
Straszną muzyką spływają do ucha;
Słowik w drzew cieniu rozpływa się w jęki;
Tam gwiazdy błyszczą, wietrzyk z lekka dmucha,
Na nocnych polach żałobne szemranie,
Niby pacierze grobów...
Słyszysz, Panie?!..

Lwów 14. czerwca 1856.

Z opłatkiem*).

Widna mi, widna ustroń cicha, smętna,
Tam, tam daleko; duszy tak ponętna,
Sercu tak bliska!... Na wschód szare pola —
Smutne, ponure, jak dziś nasza dola.
Nad niemi z szronu biała mgła się kłębi,
Latają orły lub stada gołębi;
A po nich szarak pierzcha, stawia słuchy,
Albo od mogił wiatr pociąga głuchy.
W nim chrzęstem dzwonią dziwne jakieś słowa
Niby hetmańska pieśń Jana z Tarnowa**).

Czerwone słońce po za las zapada,
Na nocleg siadły białe ptaków stada,

*) Wiersz ten posłany Rodzicom poety na Boże Narodzenie 20 grudnia 1857. (*p. w.*).

**) Za Żukowem, miejscem urodzenia poety, są mogiły z czasów bitwy Jana Tarnowskiego pod Obertynem (z Wołoszą).

Na Anioł Pański dzwon kościelny dzwoni,
A cisza wielka w lasach i na błoni.
I we wsi spokój, jak gdyby anieli
Od pól niebieskich tędy przelecieli
Z wieścią promienną, że między ziemiany
Przy nocnej zorzy zstąpi Pan nad Pany.

Popatrzcie! — znacie od cmentarza drogę?
Ja wam tam każdy krzaczek nazwać mogę.
Może zachodnia mgła wisi nad drogą,
Że nie widzicie, patrząc tam, nikogo.
Może za silnie dzwon pacierze głosi,
Że wiatr wam echa kroków nie zanosi,
I o pielgrzymie nie poda wam wieści,
On, co tam w liście tak smętno szeleści.

Duch mój tamtędy, niby strzelec z boru,
Do bielonego pośród świerków dworu
Idzie, najdrożsi, stanąć między wami,
Gdy się będziecie dzielić opłatkami.
Bo mu widoku waszego potrzeba,
Waszych uścisków, słów, waszego nieba;
I życzeń waszych i błogosławieństwa
Na drogę życia — a może męczeństwa:
Na wszystko — wszystko, co los mu nadarzy!...
A co wam życzy, to czytajcie z twarzy!
Dusza ostyga często w zimnem słowie,
A częściej serce nie mieści się w mowie.

Więc do was najpierw. Duch oto się zgina:
Wy starą dłonią błogosławcie syna!
Wy, których ręka, gdy się dotknie skroni,
Dziecku krainę aniołów odsłoni;
Wy, których miłość najsilniejszą tarczą,
Wy, których modły przed Bogiem wystarczą,
By mnie minęła wszelka zła godzina —
Ojcze i matko — błogosławcie syna!

A teraz naszej rodziny gromadka!...
Oto was sercem proszę do opłatka:
Bóg daj wam lepiej we wszystkiem, co wasze!
Bóg szczęść nam naprzód we wszystkiem, co nasze!
Uścisk wasz szczery! — świat, życie nas dzieli,
Niechże się miłość pośród nas anieli.

A teraz idźcie, — tam dano do stołu,
I ja tam z wami zasiądę pospołu.
O! a wesoło, choć serce zaboli,
Jakbyśmy nigdy nie znali niewoli!

*
* *

Tam, tam od mogił mgła zwija się w kłęby;
Niby olbrzymy stoją leśne dęby,
Przez bojowisko wieków dawnej chwały
Przeciąga wolno orszak duchów biały.
Podniósł się, krokiem pewnym w niebo dąży...
Przodem pan hetman, bułatny, chorąży,

Dalej husarze, pancerni, kozactwo
I całe ojców pospolite bractwo.
Od ambon, krzeseł, tronu i buńczuków
Wraca z nocnego przeglądu od wnuków!
Nad nimi w złocie ranna zorza wschodzi
I chór aniołów śpiewa:
»Bóg się rodzi!« *)

. . . .

Lecz kto — kto w nocnej zasłuchany ciszy
Całą potęgę tego głosu słyszy?
Anielskiej pieśni kto pojmie znaczenie?
Słuchajcie! — Słońca gdy strzelą promienie,
Gdy się w poranku niebo wypogodzi,
Pieśniarzy polskich doleci was pienie:

»Nam Bóg! — nam Polska się rodzi!«

20 grudnia 1857.

---

*) W rękopisie znajdujemy podane wyżej zakończenie, które myśl utworu wyjaśnia *(p. w.)*.

Modlitwa

Lecę ku Tobie jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące;
Do Ciebie rwę się jak żal niewymowny
Z pól, które mogił zaległo tysiące;
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.

Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża:
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie;
Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!

Bym nie rzekł: Panie! kiedy mię otoczą
Pomniki wielkich i wierzby cmentarne,

Że wieszcze kłamstwa wieścili proroczo,
Żeś Ty i świat Twój i wszystko jest marne...
Lecz wiarą mocny niech na grobach stoję —
I pracą, Panie! niech liczę dni moje.

Najsilniej — kiedy będą się zapierać
Moi gniazd orlich — Ty wspieraj mię, Panie!
Bo, przeklinając nie chciałbym umierać —
I lwa ryk wolę, niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bratniej —
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

1859.

Prośba.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu.
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;
Gdy zbiera, użycz mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy twą wolę
Spełniają w bratniej miłości.
Jasną im ciszą opromień dolę;
Twój anioł niech u nich gości.

Nam budzicieli wielkich, o! Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród zbudzon powstanie,
Daj wodzów w naród wierzących!

1859.

Na nowy Rok*).

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
Bogdaj człek stanął na duszy bielszy —
Bogdaj z tym Bogiem, co na świat schodzi,
Poczuł, że Bóg mu w sercu się rodzi!
I z Aniołami, czysty anielsko,
Witał go co dnia przed strzechą sielską,
W boru, na kośbie i na swej roli
I wonczas, kiedy serce zaboli.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
O! bo łez wiele kosztował stary.
Niechby człek patrzył w niebiosa śmielszy
I ufał i był żelaznej wiary.
I gdy go ucisk albo grzech gniecie,
Otrząsł go z siebie szorstkiemi dłonie,
Jak pył otrząsa, co go omiecie
Nieraz przy pracy tam na zagonie.

---

*) Wiersz ten był drukowany roku 1860. w ludowem piśmie »Dzwonek«, redagowanem przez przyjaciela poety, Brunona Bielawskiego. *(p. w.)*.

Bogdaj ten bocian, co wróci z wiosną,
Bogdaj jaskółka pod nasze strzechy
Wieść nam przyniosły z dali radosną
I dla zbawienia i dla pociechy.
O! bo te ptaki, to boże posły!
Spytajcie ojców — oni powiedzą,
Że już im nieraz dobrą wieść niosły:
I szczęście bywa, gdzie się osiedzą.

I niech nam słońce wstające z rana,
Gdy pociągniemy z pługami w pole,
Otworzy oczy na wolę Pana,
Na lepszą wolę i lepszą dolę,
I niechaj spali ten płomień boży
Tych, co roznoszą fałszywe wieści —
Niechaj zły szatan wielce się strwoży!
Bo szatan sprawcą naszej boleści. —

A kto mogiłę ujrzy na błoni,
Niech o niej pyta u starych ludzi.
Starzy powiedzą o starej broni...
O dziadach dawna wieść się obudzi.
Słuchajcie pilnie, gdy stary prawi,
Jako kto zginął, jako się wsławił.
Myślcie, co każdy swoim zostawi?...
I... bogdaj Bóg nam pobłogosławił!...

1860.

Modlitwa

(na obchód żałobny za poległych w Warszawie 27. lutego 1861 r.)

Wejrzyj ku nam z niebios, Panie!
Z łaską Twą;
Idziem po Twe zlitowanie
Z łzą i krwią.
Co cierpliwość Twoją zbudzi?
Sprawiedliwość co obudzi?
Wróg bezbronnych ścina ludzi,
A Ty gromy w ręku masz,
Boże nasz!

Patrz, na co się już ośmiela
Hardy wróg!
My się modlim, a on strzela
Do Twych sług!
Na uczczenie wielkiej doby
Nie dasz-że nam już żałoby
Nieść na ojców sławne groby?
A Ty żałość naszą znasz;
Boże nasz!

Ach! piekielnej serca męce
Koniec zrób!
Jasny oręż daj nam w ręce
Albo grób!
Nadziejamiś błyskał z dali
Wśród łez fali i krwi fali,
Tyle lat my wiernie stali,
A Ty wiarę naszą znasz,
Boże nasz!

W górę dłonie! niech okowy
Brzękną wraz!
Okrzyk wrogom ponad głowy:
»Boże! czas!«
Czas nam, Boże, strząść kajdany,
Czas wyleczyć nasze rany,
Bo już szydzą z nas szatany,
A rozpaczy moc Ty znasz,
Boże nasz!

Panie! chylim Ci się w skrusze,
Wielbim krwią;
Ty pocieszysz sług Twych dusze
Zorzą Twą!
Kornie gniemy w proch kolano,
Bądź pochwalon krwią rozlaną!
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,
A Ty grom nam w ręce dasz,
Boże nasz!

1861.

Hymn.

Memu się Bogu pokłonem ścielę,
    Kraj mu całuję gwiaździstej szaty;
Mirrę mu wonną spalę w kościele,
    Bom z jego ręki możny — bogaty;
A był on dla mnie darami hojny:
Mój duch jak anioł piórami strojny.

Wiem, gdzie zacząłem, a nie znam końca,
    Dalej i wyżej! lot mój gromowy.
Zdobyczą — gwiazdy, sfery i słońca...
    A celem — On sam, Bóg przedwiekowy;
Toż z aniołami radbym w zawody
Hymny mu śpiewał na wieczne gody.

Memu się Bogu pokłonem ścielę,
    Bo on mię w wielkim zbudził narodzie!

Bo lud mój cierpiał i ważył wiele,
A o słonecznym marzył pochodzie
W miłość — i pójdzie tam, bo mu dano
Miłości wrócić ziemię zbłąkaną.

A jam pochwycił jeden z sztandarów —
Ludu pieśń — i z nim stoję na dobach;
Jak miecz on zawisł nad tronem carów
I wiem, że zatknę go na ich grobach;
Toż śród nieszczęścia jestem spokojny,
Bom najstraszniejszym orężem zbrojny.

Memu się Bogu pokłonem ścielę
Za młodość moją w ciernie obfitą:
Za to, żem cierpiał i ważył wiele,
Żem drogą nieraz szedł nieubitą;
Żem na niejednym kolcu się skrwawił
I ślad niejeden krwi pozostawił.

I za samotność życia grobową
Pokłonem Tobie ścielę się, Boże.
Gdy znój i smutek będą nad głową,
Wiesz, że na sercu głowy nie złożę,
Że i łza jedna nie spadnie dla mnie,
Chyba stróż anioł mój westchnie za mnie.

Wieczorna gwiazda.

Wieczorna gwiazdo! radbym cię z pociechą
Witał jak niegdyś nad mych ojców strzechą,
Gdym chłopię jeszcze, wbiegłszy do ogrodu,
Nurzał się w toni wieczornego chłodu,
I rad, że zgasła już dzienna pochodnia,
Na niebieskiego czekałem przychodnia;
A ten przy głosie smętnych wiejskich dzwonów
Szedł między sploty świerków i jesionów;
I tam już, cały srebrny lub omglony,
Stawał i czekał, aż umilkną dzwony,
A potem zwolna szedł po niebios gmachu
I liczył śpiące gołębie na dachu.

Ja zaś, na ustach mając nieskończony
Pacierz, patrzyłem w twój promyk czerwony,
I widziałem w nim postać Marji Panny,
Jako, u stóp swych mając lazur szklanny,

Schodziła z niebios na zielone wzgórze, —
A tam, witając, rozkwitały róże.
Lecz ona, wszystkie pomijając kwiatki,
Zdała się okiem liczyć wioski, chatki
I lud, co jeszcze błąkał się po polu,
I tych w radości i tych, co są w bolu,
I nie minęła oczyma nikogo.
A gdy już miała wracać inną drogą,
Wówczas, bywało, drogę jej zabieży
Hufiec skrzydlatych na koniach rycerzy,
I Pannie ramion wskazują tysiące
Mogiły rosą wieczorną błyszczące.

A potem wzniosą głos wszystkie postacie:
»Marjo! wszak tutaj walczyliśmy za cię.
A naszej dziatwie co?« — Swiat milknął wszystek,
I tylko srebrny od księżyca listek
Szemrał na smukłych u zdroju osinach
Pacierzem matki po zabitych synach.
Panna zaś gwoli skardze lub milczeniu
Na owym gwiazd się wznosiła promieniu
I pokazując ręką ku mogile,
Zdała się hufcom mówić: »Jeszcze chwilę!...«
I powracała w otwarte niebiosa.
Za nią szły: hufiec, pacierz, woń i rosa...
Jam potem w światy zanurzał się cudu
I sam na siebie brał wyprawy trudu.

O! dziecinnego łona dziwna wiaro!
Gdzie ciebie teraz szukać, złota maro?
I marzeń i wróżb, co za tobą społem
Szły jako barwne tęcze za aniołem?
Gdzie twój krzepiący czas w groźnej godzinie?
Gdzie zdrój, co z ciebie w pierś nadzieją płynie?
Gdzie sny, z któremi duch zamknięty w sobie
Rosnął jako świerk sadzony na grobie,
Zieleniący się uśmiechem na smętność? —

To wszystko z duszy wydarła namiętność!...

II.

Sonet

na dzień 1. Stycznia 1854.

Wśród orkanów na fali grają żagle moje
Niby skrzydła łabędzie utoczone z piany;
Zimnem okiem spoglądam w przestwór rozbujany,
Niechaj piorun w maszt bije, — ja widzę ostoję.

Gdym od brzegu odbijał, to tęczy rozwoje
Kwiatem drogę mi słały przez modre bałwany;
A ja — dziecko — na łodzi słodko kołysany
Plotłem w wianek żeglugi marzenia powoje!

Burza wianek porwała, — łodzią fala miota,
I niejeden już piorun młodą pierś uderzył,
I usta-m obznajomił ze życia piołunem; —

Ale płyńmy, — znów widzę szkli się tęcza złota:
Powróciła mym oczom. Jam w powrót nie wierzył...
O teraz, łodzi moja, leć z myśli piorunem!

Żegnaj mi, pieśni...

Żegnaj mi, pieśni! może na zawsze, —
Może już nigdy nie zabrzmisz mi!
Inne dziś śpiewy — dziksze i krwawsze
Miotają sercem. Miast lutni stal!
O! i boleści sroższe i łzawsze;
Cierń niepewności w sercu mem tkwi...
Luba piosenko, mnie ciebie żal!

Kiedym raz pierwszy w życiu zanucił,
To mi się zdało, żem cały raj
Nowo ubarwił, — ze snu ocucił
I ziemi nowy darował kwiat.
A jako anioł, co nieba rzucił,
Był mojej myśli wiosennej maj!...
Oh! z taką pieśnią słodko iść w świat!

Serca wnet bratnie zadrgały ku mnie —
O słodki dla mnie każdy był dzień!

Mogłem po ziemi spoglądać dumnie:
Drużyna w koło a w ustach śpiew!
I choć uczucia zagrały tłumnie,
To się zlewały do pieśni brzmień...
A dzisiaj? pieśnią — czyny i krew!

O żegnaj pieśni! pieśni ma złota!
Nie wiem, czy kiedy znajdziemy się
Na tej ciernistej drodze żywota!...
Chwila rozstania zbliża się już!
Znikaj boleści! precz, precz tęsknota!
O, nie wstrzymujcie na drodze mnie,
Na drodze burz!

1854.

Nasza myśl.

Czarno w duszy — hej! czarno,
Jakby w wnętrzu mogiły.
I dni płyną nam marno —
Hej, i żywot niemiły.
Bo żyjemy tak sobie —
Niby żywi — a w grobie!

Cóż u licha i czarta —
Czy ten letarg na wieki?...
A dziejowa też karta
I ród przyszły daleki —
Chcecie, by z nas się śmieli,
Żeśmy karki ugięli?

Teraz śmieją się wszyscy,
Żeśmy próchnem nie ludem.

I dalecy i bliscy
Nie użalą nad trudem,
Co go znosim w niewoli —
Hej — to boli — to boli!...

Precz z boleścią! — bierz licho
Tych, co bawią się łzami! —
Cicho w Polsce, hej, cicho! —
Nam łza oczu nie splami:
Gdy Bóg . . . .
. . . .

. . . . serce
Jakoś ręki przysporzy...
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Co nam z nieba? — tam głucho —
Tylko gwiazdy migocą.
Niech omdlali ze skruchą
Płaczą nad swą niemocą,
Nam — gwiazd tyle i nieba,
By w pierś trafić — potrzeba!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

I jak tamci za morzem
W Sycylijskie Nieszpory...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

14 stycznia 1855.

Wieszczowi.

(na wieść o śmierci Adama Mickiewicza).

Siedli my młodzi z posępną twarzą,
Ci coś zanucą, tamci zagwarzą,
Lecz pieśń i gwary nie lgną do łona;
Oh! bo to nie ta pieśń ulubiona,
Jaką nam nasi wieszcze śpiewali,
Kiedyśmy byli latami mali.

Od stepów wschodu do mórz zachodu
Strónami były serca narodu.
Co się marzyło, co kiedy było,
W słodkiej ich pieśni żyło, mówiło!
Toż nam pytanie z serca wypłynie:
— Co też wieszczowie robią w obczynie?

A ten najpierwszy wieszcz z borów Litwy
Jakie nam nowe wyśpiewa bitwy?...

Dzisiaj nam kładą z łzawnic arkady...
Oj! nie tak nucił wieszcz gromowłady:
Swojego ludu wypieśniał sławę!
A dzierżył wielką pieśni buławę.

I była puszcza nad Wilją głucha,
A wieszcz utonął w głębinie ducha,
W dolinie Kowna żmudzkiemi rogi
Bój mu tam z nieba wygrały bogi;
I Nowogrodu prześliczną dziewkę,
Na bój my z pieśnią wiedli Litewkę.

Pada strzał — ginie Litewka młoda
I jękły puszcze; szkoda! oj szkoda!
Ogień pochłonął ją, Litawora!...
Stoi w pamięci, jakby to wczora! —
Wieszcz nam zanucił — Litewka żyje!
I serc już miljon sercem jej bije...

Oh! i tak kocha kraj, jako ona!
Jak ofiarnicy tysiąc nas kona;
W płomienie lecim pieśnią ogrzani,
Bo tak rozkazał wieszcz, co hetmani!
I przy ołtarzach pachołcy wierni
Stoim, słowami jego pancerni.

Ostyga serce, gdy pieśń nie grzeje!
Rozpamiętujmyż pieśniarza dzieje!
— Wieścią Halbana przez puszcz tajniki
Śpiewają gromy, płaczą słowiki...
A wieszcz zaduman nad Wilją słucha
I kuje zemsty pieśń w głębi ducha.

Hej! obrał mistrza Krzyżak szalony!
W noc — słychać z dala jęki Aldony:
Na pastwę zwierząt i głodnych ptaków
Walenrod w zaspy powiódł Krzyżaków...
Szczęśliwy zemstą Walenrod kona!...
Przygasa lampa... jękła Aldona!...

Za łzy sieroctwa, męczeństw tortury
Pomścił się pieśnią on Halban wtóry!
Choć sam boleścią i smutkiem blady,
Dziatwę w cmentarze wiedzie — na Dziady
Zniczowe w sercach paląc łuczywa,
Z gwiazd uplecione pieśni jej śpiewa.

I ludzie wierzą słowu wieszczemu,
Patrzą, czy bliski koniec już złemu
On, co nadzieją koił nam bole,
Łzami oblewał w obczyźnie pole,
Tęskniąc, nawiązał struny pamięci
I Tadeuszem swą Litwę święci.

A my stanęli w zachwycie niemi,
Zaklęci pieśni tony wzniosłemi.
— Podajcie wawrzyn na jego skronie!
Niech wieszcz przed ludem stanie w koronie!
Hej! to za mało wieńczyć go kwieciem:
My mu z serc naszych wieniec upleciem!

Miłość mu nieśmy, nie zimną sławę!
On nam opieśniał dnie serca krwawe!
Choć w srogim bolu duch mu się zmącił,
Potargał stróny, lutnię odtrącił;
Toć z mgły omamień, widząc cierpienie,
Drżącemi usty wieścił — zbawienie!

Zbłąka się orzeł, gdy grom zaświeci;
Nastrzępia pióra, nim znów uleci...
W piersi wieszczowi piorun uderzył;
Bracia! on silny — cierpienia przeżył!
Cieszmy się! cieszmy! on do nas wróci!
I pieśń przerwaną znowu donuci!

— Milczcie, szaleni i bezprzytomni!
Kto o radości jeszcze tu wspomni?
Ludu! dla ciebie straszna to doba!
Oto przynoszą wieści Hioba!...
Wieszcz z borów Litwy — on hetman pieśni —
Złożył buławę w grobowej cieśni!..

I my skłonili czoła i oczy,
Z rzęs się ni jedna łza nam nie stoczy;
Rażone nagle piorunną wieścią
Nie jękną piersi głuche boleścią,
Tylko z ust rwie się w niebo pytanie:
— Po co nam wieszcza zabrałeś — Panie?

Wszak w Twojem niebie masz tam harfiarzy!
Komuż się serce nasze poskarży!
Wziąłeś go, Panie, z serc naszych głębi!
Któż w pieśń przeleje żal nasz gołębi?
Bez jego dłoni łzy te, co płaczem,
Burza rozwieje w życiu tułaczem!

Nam z jego pieśnią było tak błogo!
Gdy do Cię leciał świetlaną drogą
Po wieszcze tony, po wieszcze słowo,
My, stojąc smutni z zwieszoną głową,
Życia we wieszczbie jego czekali
I, by powrócił, modlitwy słali.

Powracał z nieba on duchem święty,
Biały uczuciem, Tobą natchnięty;
Widząc posępne oblicza rzeszy,
To koi rany, to wieszcząc cieszy:
Pielgrzymom Twoje wypieśniał słowo,
A tak wspaniale — a tak bojowo!

I znów gdy duchem leciał do Ciebie,
Tyś go na zawsze zatrzymał w niebie!
A my sieroty, wiecznie boleśni,
Tułać się musim już i bez pieśni!
Milczą na lutni strόny stalowe!...
Któż po nim zagra pieśni bojowe?

Ojcom się w grobach straszny sen prześnił;
On ich nie wszystkich jeszcze opieśnił.
Wielki ten poczet kładąc się w trumny
Już jego pieśni przeczuwał, dumny;
Dziś tarczą kryje boleść na twarzy;
Bogu zgon jego westchnieniem skarży.

Myślałżeś, wieszczu: naród ojczysty
Niegodzien pieśni, ani lutnisty! —
Byłbyś na wieki pozostał z nami,
Widząc, jak do cię lgniemy sercami...
Dziś, gdy cię od nas wzięły już nieba,
Jeszcześ śród obcych leżeć ci trzeba.

Nad nami niebo pełne błyskawic!
Wrócił on wielki wódz z pod Racławic...
Lud go zaprosił do swej mogiły,
Tam — w obcej ziemi sen miał nie miły;
O złotogłosy! w ziemi żałoby
Piękniejsze serca! piękniejsze groby!

U nas na wiosnę wonieje łąka,
Po niej się echo pieśni twej błąka;
Na bory Litwy, na stepy, Tatry,
Pieśń twą zanoszą zachodnie wiatry.
Oblany tylu szczeremi łzami
Błogobyś spoczął między ojcami.

Lud do trzech mogił na naszej ziemi
Wzniósłby ci czwartą dłońmi swojemi;
Kołysan szmerem ojczystej fali
Marzyłbyś: Niemen... Wilja się żali...
Tam głucho płyną Sekwany ścieki,
Oj! nie podobne do twojej rzeki.

Grób twój daleko od twoich dzieci!
Żal nasz do ciebie czy tam doleci?
Chyba zaniesie lacki wędrowiec
Garstkę tej ziemi na twój grobowiec...
Wieszczu! snu twego czy nie rozbudzi
Ta grudka ziemi od twoich ludzi!

Tam — czy się tobie w obczyźnie nie śni,
Że przypomnielim o twojej pieśni? —
Na naszej roli, sercem rzetelni,
Czujem się w pieśni twej — nieśmiertelni.
Łzami pytamy, w jakiej godzinie
Grób ci usypiem w Kowna dolinie?

Po tobie kto nam zapali Znicze?
Hej! gorzko płaczem plemię rolnicze!
A gdy odłożym lemiesze, trzósła,
I twej pamięci zapalim gusła,
Spływajże ku nam z gwiazd, gromowłądy!
Naszego serca uświęcać Dziady!

Ty gdzieś tam tęsknisz nad obcą rzeką
Od twego Niemna, Wilji, daleko!
Więc nim odpoczniesz pomiędzy nami,
Orły do ciebie poślem z wieściami!
Grób oskrzydlając, niech ci wykraczą,
Jako tu dzieci po tobie płaczą!

1855.

Ze wspomnień dziecinnych.

Dla siostry.

Zrodzon na grobach śród kajdan brzęku,
    Śród szmeru wiejskich pacierzy,
Na mej piastunki pieściwem ręku,
    Słuchałem życia rycerzy:
A opowiadał mi ojciec stary,
    Matka mówiła najwcześniej,
Gdy płaczącego uczyła wiary,
    A siostra śpiewała pieśni.

Mówili dziecku prostemi słowy,
    Lub śpiewem rzewnej tęsknoty,
A nie wiedzieli, że mu do głowy
    Już płynie marzeń rój złoty;
Że kiedy uśnie, śnią mu się męże
    Skrzydlaci niby anieli,
W zbrojach i hełmach, w dłoniach oręże,
    Odziani w skrawionej bieli.

I nie wiedzieli, kiedy zbudzone
    Dziecko zapłacze, bywało,
Że mu się śniły bronie wzniesione,
    Że padających widziało.
Utula z płaczu matka stroskana,
    Cacka podaje do ręki;
Darmo! aż dziecku siostra kochana
    Zanuci tęskne piosenki.

I uśnie dziecię, uśnie jak ptaszę,
    Gdy słowik w wieczór zanuci,
Aż mu się przyśnią orły, pałasze,
    I na łóżeczku się cuci.
Nad łożem ojca kord wisiał krzywy,
    Ku niemu zwraca oczęta,
Na licach uśmiech igra mu żywy
    I klaszcze w drobne rączęta.

O, sny me złote! o siostry pieśni!
    Jakże mi tęskno za wami,
Czemuż tak często dziś mi się nie śni,
    Że lecę między orłami?
Na mojej ziemi mnożą się groby,
    Wróg coraz silniej uciska,
I wieją ciche pieśni żałoby,
    A szabla jeszcze nie błyska.

Wywiedli konia z ojca stajenki,
    A ojciec wsiadać mi każe:
»Weźno bułanka, chłopcze, do ręki,
    Jak się masz trzymać, pokażę«.
A matka z okna: »O, ja się boję;
    On spadnie, on taki mały!«
»Trzymaj się, chłopcze, konia we dwoje!
    Ha, ha! patrz, jaki zuchwały!«

Potem mi ręką pogładzi lico,
    A mnie tak w duszy gorąco,
Żebym chciał lecieć gdzieś błyskawicą
    W dal jakąś dziką, świecącą.
Toż na najwyższą wyskoczę sosnę,
    W dali utonę oczyma;
Marzę i płaczę — w marzeniach rosnę
    Gdzieś w lecącego olbrzyma.

Przedemną jasny piorun się pali,
    Szablicę trzymam we dłoni,
A za mną tłumem wojsko się wali,
    I lecim po mogił błoni...
Co raz to dziksze wstają zjawiska,
    Coraz groźniejsze postaci,
Już mi tysiące piorunów błyska...
    Z marzeń mnie budzi głos braci.

Tam do nauki matka mnie woła!
Gdzie byłem, patrzają niemi,
A ja zeskoczę z smutkiem u czoła,
Z oczyma na pół łzawemi,
I słucham matki, jak opowiada;
A gdy nauka przeminie,
Biegnę do siostry, — a ona rada
Nuci piosenkę chłopczynie.

Ogniste mary, senne krainy,
Jakże wy dzisiaj dalekie —
Czy tak to wyście duszę chłopczyny
Przysposabiały na spiekę?
Oh! a ty tęskna pieśni siostrzana,
Coś łzy chłopięcia koiła,
Czyś ty mi w chwilach mojego rana,
Że będę śpiewał, wróżyła?

Bywajcie zdrowe, wspomnienia moje,
Pieśni siostrzana — bądź zdrowa!
Od bolu wdziałem na serce zbroję,
A tarczą pokryta głowa.
Może was nigdy nie ujrzę więcej,
Pierwsze anioły mego żywota...
Wyście świeciły duszy dziecięcej
Nad głową — jak tęcza złota.

1856.

Fragment.

On stał samotny — i tęskno mu było
Jako dziecinie, której kwiatek w ręku,
Zerwany, — traci na czarownym wdzięku;
A kiedy dziecię kwiat łzami zwilżyło,
Główeczkę małą kwiat podniósł na chwilę
I znów zajaśniał kolory żywszemi
I do dzieciny uśmiechnął się mile.
Lecz znowu główkę pochyla ku ziemi...
A dziecię czuje, że kwiat zginie wkrótce,
Toż tak mu tęskno przy tej niezabudce. —

On stał samotny. Łzy mu w oczach drżały,
Noc przemijała na smutnem dumaniu:
Jakieś doń mary zewsząd przybiegały,
Gdy serce drgnęło przy uczuć wezbraniu.
A myśl leciała mu z duszy bez ładu
Jak błędna gwiazda, co ginie bez śladu.
I nie wiem czemu, kiedy księżyc błysnął
I srebrne światło po grobowcach cisnął,

Tak nagle serce zadrgało mu w łonie?
I czemu potem, kiedy łzawe oczy
Od księżycowych odwrócił warkoczy,
Dziwna spokojność wieńczyła mu skronie —
A myśl, co pierwej leciała bez ładu,
Dawnych pamiątek jęła szukać śladu...

*
* *

— O szybciej! szybciej lećmy w to ustronie,
Gdzie myśl, jak łabędź na dalekiem morzu,
Roztoczy skrzydła po błękitnem łożu
I chętnie w przeszłość nurza się — i tonie...
Może bo krwawych dostaniem korali?
Lub maszt strzaskany? — myśli, lećmy dalej!
Może kotwicę gdzie znajdziemy na dnie,
Którą do naszej gdy przypniemy nawy,
To wspomnim sobie ojców żywot krwawy?...
A może nawet myśl przyszłość odgadnie? —
Dzisiaj nas fala rzuca po otchłani, —
A bez kotwicy nie staniem w przystani.

O leć, leć, myśli! — patrz tam mogił cugi
Scielą za sobą cień smutny i długi:
Tam odpoczniemy! — tam ja je odkopię,
I prochy Ojców łzami dziecka skropię,
I pytać będę: jak żyli? — gdzie byli? —
Czemu nas takich tęsknych zostawili?...

Tam w dali orzeł wypłoszony z krzyża
Skrzydła nad stepem do lotu rozszérza.
My z nim do nieba poślijmy pytania?!...
Orle! czy bliska chwila... zmartwychwstania?!...

. . . .

1856.

Ku ojcom!

Przebaczcie, ojce, mężowie zbrojni!
Wyście już w grobach spali spokojni,
Minione boje wam się i nie śnią,
A ja was moją rozbudzam pieśnią.

Sercem kopałem groby aż do dna —
Aby was zbudzić mogła dłoń godna,
I nim podniosłem mogilne sochy,
Łzami ja wasze zlewałem prochy.

Budzę was, bo mi tęskno za wami!
Chciałbym pogonić w czwał z husarzami,
Na karkach wrogów strzaskać bułaty
I pełną piersią spełniać wiwaty:

— Cześć tym, co pierwsi na wroga biegli!
— Cześć tym, co w boju mężnie polegli!

— Cześć towarzystwu — pancernej rocie,
Bojowym orłom w stali i złocie!

Budzę was, ojce! powstańcie razem,
Zbrojni sercami, zbrojni żelazem,
Z dumą na czole, kopją u boku,
Na dzielnych koniach i z gromem w oku...

A polecimy jak świat szeroki:
Przed nami pomkną orły, obłoki,
Zagrają wichrem stepy i morza,
I zejdzie w chwale porannej zorza.

A gdy się wzbije nad pola słońce,
Zdziwi się, co to za nowi gońce,
Na jakie kraje skrzydlaci lecą,
I komu gromem w oczy zaświecą?

Lecz nie przekroczym naszej granicy,
My tylko jako wierni strażnicy
Wkoło po własnej przelecim ziemi:
Czy się gdzie zdrada na nas nie plemi.

Bo czarnych duchów pełno na świecie...
Więc w pańskie dwory, zagrody kmiecie,

Pójdziemy z pieśnią i dźwiękiem stali,
Lackiej krainy stróżowie biali.

Spytamy panów, czy pamiętają...?
Chłopków, czy hojny dobytek mają?
A gdy nawiedzim serca i domy,
Znowu nam w drogę zanucą gromy.

Wy polecicie na wasze słońca,
W krainę bożą — bez dna — bez końca,
A ja z mą lutnią — zostaniem sami,
Po nad grobami, tęskni za wami.

Aż mi znów skrzydła porosną w pierze
I dusza hartu stali nabierze:
Wtedy ulecę, wielcy! za wami,
I znów was tutaj zaklnę pieśniami.

1856.

Nikodemowi Biernackiemu.

po odegraniu fantazji z pieśni ludowych.

Dźwięk obcej pieśni w dali się kołysze;
Milczą, znać w sercach niespokojną ciszę.
Tak śpi przed burzą uciszone morze,
Gdy spoczną wichry i wybłysną zorze.

— Mistrz idzie! oklask przemknął błyskawicą,
On, idąc, w górę potoczył źrenicą —
A gdy natchnieniem zagrało mu łono,
To iskrą myśli, ze źrenic strzeloną,
Słuchaczów swoich przenurtował serca,
Czy godni pieśni z lackich pól kobierca?
Zagrał: — z strón złotych rzewne tony leje,
Zaklął w nie nasze marzenia i dzieje...
Przegrywką łzawą oddźwięcza nadzieję!...

*
* *

Cyt!... zmienił tony, wpół tęskno, bojowo
Zagrały stróny, z strón wypada słowo!
— Z dalekich krain, na nim pył drogowy,
Do swej ziemicy wraca szeregowy,

Sława mu ciemne ubieliła włosy,
W głębi pamięci dawnych burz odgłosy;
Krok jego chwiejny, ciągnie się powoli,
Niegdyś on rolnik powraca do roli,
Co się czernieje u wiejskiej siedziby.
Młodzieńcem rzucił ojca, matkę, skiby —
W szeregach bratnich przewędrował światy,
Oni dziś w grobie, on wraca do chaty.

Nad rumowiskiem samotna topola,
Chatka zwalona, chwast buja przez pola...
— Ojciec i matka — hej! już dawno w grobie!
Łzę ocierając, wojak myślał sobie,
I po pacierzu brał się już do pługa...
Rękę ma jedną, na placówce druga...
Pożegnał pole, nie zdolen do pracy:
Poszedł... Oh! pomoc dajcie mu, rodacy!

*
* *

Czy znalazł pomoc starzec szeregowy? —
Może spoczynek dla zbolałej głowy?
U dobrych ludzi w serdecznej gościnie
Gdzieś mu tam życie przy gawędzie płynie...

Mistrz przemknął duchem przez mogilne pola,
W locie zebrała głosy myśl sokola:
Płacz matek, sierot u pogorzeliska
Złotemi łzami z drżących strón wytryska.
Czasami jękną w stłumionej żałobie...

To głos narodu na swych ojców grobie,
Krótki, przerwany jak westchnienie z truny;
Jak niegdyś serca, zda się, pękną stróny,
Tyle w nich płaczu — i tyle żałoby...
Strónami mistrza mówią nasze groby!...

. . . .
. . . .

Sztandary wieją bitwom pożegnanie,
A stróny sączą potokami łkanie.
Ponure twarze walecznych rycerzy
I chmurne czoła, — broń już w kozłach leży!

A kiedy oczy obrócą ku niebu,
W sercach im jęczy smutna pieśń pogrzebu:
— Tylu poległo, krew płynie jak woda...
A stróny płaczą: oj! szkoda ich, szkoda!...

Może ton rzewny, co opuścił doły,
Od gwiazd odbity słyszeli anioły,
Żalem wzruszeni płacze harf podnoszą
I pieśnią Boga o zbawienie proszą!...

*
* *

Mistrz nas poruczył modlitwie aniołów,
Sam teraz wieści wypieśnia sokołów;

I szumią pióra z pod chmurnego sklepu,
Sokoły lecą z wieściami od stepu:

— Smutne Wołynie, w zadumie Podole;
Na krzyżach siedząc orły patrzą w pole,
A pod krzyżami w grobach milczą boje,
Dumki gadają, że serc cierpi dwoje!

— We wrotach stoi zapłakana dziewa,
Kozak odpina konika od drzewa,
W oddali dźwięczy smutna pieśń pochodu,
Drużyna śpieszy do obcego grodu.
— Bywaj mi zdrowa! hej, czy nie na wieki!
— Już mię porzucasz! jedziesz w świat daleki,
Tam serca twarde jak kamienna bryła...
A ty tam śpieszysz! czym ja ci nie miła? —
— Dziewczę! jam sołdat, odbierz miłość twoją!
Kochałem szczerze! dziś ty już nie moją...
W pochód nam każą, idziem w imię Boga! —
Pomknął, od kopyt zatętniała droga —
A dziewczę płacze, na mogile nóci:
— Kazali w pochód, on już nie powróci!

* * *

Czy sen ukoił jej boleść i żale?...
Tam gdzieś sokoły dumają na skale...

A stróna jęczy cicho, coraz ciszej,
Łza się ostatnia we dźwiękach kołysze,
Umilkła... mistrz ją zaklął w swojej dłoni...
Stargana miłość echem w sercu dzwoni!

I kiedyśmy się tęskno zadumali,
Spłynął po strónach dźwięk Prutowej fali,
Rzewnego ludu cichych marzeń snucia
Odbiła piosnka żałosna Pokucia...

— Zaszumiał wietrzyk pomiędzy konary,
Dziewica hoża szuka ziół na czary;
Jodły pobiegły ku chmurom wysoko,
Siatka zadumy ściemiła chłopcu oko...
Wiatr brzózki chyli, kędy im pochyło,
Oczy pobiegły tam, gdzie sercu miło. —
Złotemi kłosy zaszumiały łany,
Hej! z bojarami przyszedł ukochany...
Ojciec coś żmudzi u swego podwórka,
Jaką tam dolę będzie miała córka?
Matka łzy zbiera do białego rąbka,
Z bieluchnej chaty ucieka gołąbka.
Bo zczarowały ją oczy sokole —
Oj! sokołowi chce powierzyć dolę!...
Koło krynicy splątały się chmiele,
Uwiły drużki barwin na wesele...
Blisko południa słońce już przyświeca,
Hej! zawołała do ślubu dzwonnica...

Rzewny dźwięk strony przycicha w oddali:
Skrzypnęły wrota... młodzi pojechali.

*
* *

Mistrzu! z pod twojej czarodziejskiej ręki
Jak nam nieziemsko płynęły piosenki!
Cześć Tobie! boś ty nie grajek uczony,
Jacy przychodzą do nas z obcej strony:
Tu przed swoimi stał gędźbiarz natchniony...
Wszystko, czem żyjem, z czem w mogiły kroczym,
Zlał na nas dźwięków strumieniem uroczym! —
— Toż rozkwiliłeś nam serca i łona, —
A gdy umilkła skrzypka rozjęczona,
Kiedy Ci inni oklaski sypali,
Ja zadumany — z łzą poszedłem dalej,
I serce z zimnej uwolnione cieśni
Całą noc o Twej przedumało pieśni.

1856.

Noc.

Po nocnych polach błąkam się bezsenny, —
W sioł woni może pierś swój żar ukoi.
Nademną wisi nocy płaszcz promienny...
Lżej bije serce, gdy się uspokoi,
I gdy mu promień nie odsłania dzienny
Czarnego grobu, co otworem stoi,
I w ciemną przepaść chłonie życie wszelkie,
Wszystko, co orle, szlachetne, co wielkie.

Tam moich ojców pochylona chata;
Przez ciemne lipy blady księżyc spada,
Na starej strzesze mech wypisał lata...
Pod strzechą ptasząt nocuje gromada,
Co z brzaskiem zorzy pod niebiosa wzlata,
I wraca z pieśnią i na różach siada —
Jak niegdyś myśl ma śród tej szczęsnej doby,
Gdy nie wiedziało dziecko — że są groby.

Gdy nie wiedziało, że miecz za szlachetnym,
Za orłem w locie wąż piorunu goni.
Śnie złoty! wróć mi z twym orszakiem świetnym
Kwiatów, gwiazd, orłów i błyszczącej broni,
I gorejących dusz we skwarze letnim —
Matki mej pacierz, niech mię znów osłoni...
Chcę marzyć! — marzyć, gdy usnąć nie mogę...
O! jakąż smutną myśl obrała drogę!

We dwa promienie błędne myśl się łamie:
Jeden po ziemi pełza chat i kłosów,
I słucha, jako myśl uczuciu kłamie.
Drugi ptak życia wzbił się do niebiosów,
Kędy duch Polski śpi we złotej bramie,
Nim Bóg rozkaże bić godzinie losów, —
I Męczennicę z letargu obudzi,
Aby promienną wróciła do ludzi.

O! ty nieszczęsna, jakże sen twój cudny!
Promień zbawienia płynie ci na lico,
Zdasz się szczęśliwą... lecz to obraz złudny —
Ty cierpisz we śnie, ludów Męczennico!
Cierpisz podwójnie tam, we sferach jasnych,
Bo coraz sroższa przemoc twego wroga.
Lecz ci straszniejszy cios od dzieci własnych,
Na których twarzy spodlenie lub trwoga.
O! czemuż Anioł-stróż cię nie osłoni
Tarczą z piorunów od tej strasznej broni?

Darmo twe rany okrywasz zasłoną!
One mi widne wszystkie, tu — w mej duszy,
I wszystkie we mnie jak sztylety toną...
Nibym stróż twoich cierpień i katuszy: —
Wszystko mam w sercu bolem wypisane
I znam na pamięć każdą twoją ranę.

Niech mi na oczy położą zasłonę,
Niech mnie zawiodą gdzieś w najdalszą stronę,
Potem spytają: — Ty ptaszyno mała —
Gdzie matce ran-y wroga dłoń zadała?...
Ja prawą ręką sprawię całą rzeszę —
Lewą położę na bijącem sercu,
Za jego biciem do pierwszej pośpieszę;
Od pierwszej dalej po twych pól kobiercu
Takem wieść zdolny cały zastęp bratni
Od twej najpierwszej rany do ostatniej.

Przy każdej ranie zatrzymam się tyle,
Aby ciekawej rzeszy rzucić słowo;
Ale to, Matko, straszne dla mnie chwile!
Bo pierś i serce rozdzieram na nowo,
I z-pełnej czary gorycz pije dusza,
I krew mi w żyłach zajmie się płomieniem.
A rzesza milczy, — żal jej nie porusza,
Jakby w niej serce wisiało kamieniem.
Jakby nieprawdą były słowa moje,
Lub jakby rany te — nie były twoje...

O! Matko, Matko, kiedyż kres cierpieniu?! —
Wstań! o północy idź nad synów łoże —
Jak zmora w zwiędłem utop się sumieniu! —
Serca im ściśnij w kleszcze i obroże,
Na oczy rzuć im kawałki całunu,
Piersi i czoła krwią im poznacz twoją,
W usta każdemu wlej kroplę piołunu,
Nad uchem kośćmi zachrząszcz im jak zbroją —
A potem próchna wypalaj im w łonie:
Choćby się z bolu kurczyli jak węże,
Ty od ich piersi nie odrywaj dłoni,
Pokąd krwi czystej ogień nie dosięże, —
Pokąd twym bolem wszyscy nie rozbolą,
Pokąd w ich duszach — choć kropla gangreny
Bratać ich zdolna z hańbą i niewolą:
Nie żałuj ręki, — nie szczędź twoje syny!

Potem ich lica obmyj sierot łzami,
Kwiatami z mogił posyp im węzgłowie;
Potem ich postaw twarz w twarz przed ojcami —
Przed nimi spowiedź niech każdy wypowie...
I niech im śni się, że przekleństwa słyszą,
Że się pioruny nad nimi kołyszą...
Że odtrąciły ich precz ręce święte...
Że ich pochłoną groby rozpęknięte,
A gdy przebędą we śnie te męczarnie,
Ci, co Cię mogli niekochać bezkarnie, —
Wtedy ich piersi dotknij lekką dłonią,
Na czołach złóż im namaszczenie twoje,

Niech twe kajdany jak oręż zadzwonią,
I podnieś okrzyk: na boje! — na boje!...
Do lotu, ptacy! —

Ci, co noc przemarzą —
Już się przebudzą, Matko, z inną twarzą:
Zerwą się, w oręż wleją wszystkie siły —
Zwyciężą — albo pomnożą mogiły!

A taką piękną, cierpiącą spokojnie
Pokaż się tylko tej wybranej rzeszy,
Co za cię krew tak przelewała hojnie,
I na twe imię choćby w piekło śpieszy.
Niech w noc ich serce smutne i skrawione —
Święte, prorocze natchnienie owieje;
A ty im odchyl z przed oczu zasłonę,
I ukaż w dali jasne, przyszłe dzieje...

Wierniśmy tobie! ale twego słońca
Trzeba nam czasem na czoła i twarze,
By nie stał w cieniu, Matko, twój obrońca,
Ani się w tłumów utopił bezmiarze:
Jeno niech stoi podawać gotowy
Temu pociechę, — temu miecz stalowy.

31 marca 1857.

Kiedyż?

Nam dzisiaj tak w duszach, jak kiedy się wiosna
Z zimowej wyrywa niemocy:
To smutek i żałość, to zorza radosna,
To rozpacz jak wicher północy.

Ach! kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni
O! Polsko, ty matko miłości?
I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni
Podniesiem okrzyki wolności?

I kiedyż uczynim, swobodni oracze,
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?
Ach! kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy pól naszych zielonych.

1857.

Nocna jazda.

»Zamiast szczęścia dziki koń«.
Tom. Olizarowski.

Nad polami u nas nocą
Złote gwiazdy się migocą.
Niby nocnej sygnaturki
Dzwoni w zbożach głos przepiórki;
Skrzek koników, świerszczów wrzawy,
Przepióreczkom wtórzą z trawy;
Tędy chaty w cieniu lip,
Tam mgła pląsa pasmem skib;
Tu — jak tuman czarnych chmur —
Zdala widno stary bór;
Księżyc krwawo wstaje z jaru
Niby łuna od pożaru.

Śpijcie, twardym snem ujęci!
Dla was szkoda nocnych kras.
Spijcie, żyjcie bez pamięci!
Koniu dalej! czas nam — czas!

W duszy boleść, w oczach skry;
Serce, stawka strasznej gry —
Pamięć, trumna chwały, strat; —
Myśl, latawiec przyszłych lat;
W piersi ogień, a na czole
Marzeń wianek; sny sokole —
Koniu, dalej! ja na tobie
Setnem życiem żyję w sobie.

Z tchnieniem wiatru pieśń się miesza
Tam od wioski. tam od drzew;
To z wieczornic wraca rzesza,
I miłosny nuci śpiew.
Szczęśni oni! koniu wrony,
Ciszej, ledziej, niech te tony
Nakształt rosy pierś obsiędą, —
Może dla mnie wróżbą będą.

Łza w mem oku, uśmiech w sercu —
Klękněż z tobą na kobiercu?
Ty mi podasz białą dłoń?
Grzmią organy, my w kościele
Ręka w ręku; — ty aniele,
Okrążyłaś wiankiem skroń...

Boże! Boże! co ja marzę!!
Północ już na gwiazd zegarze —

Tam po chatach światła gasną —
W mojem sercu cicho — jasno —
Szmer nademną piór anioła,
Wonny pacierz szemrzą zioła,
Każde zda się »kocham!« woła.

Koniu wrony, w czwał — o! śpiesz.
Podkowami ognia skrzesz.
Do niej, do niej po za bór;
Tam z pagórka szlak się zgina,
Rajskie ptasze tam, jedyna!
Tędy, tędy w bok po moście —
Tam zmodlone z nieba goście.

Ale darmo! stój, o! stój.
Szał mię uniósł, koniu mój. —
Biały dworzec ztąd daleko
Za błoniami tam, za rzeką.
A ja marzę, roję tak,
Że tam zlecę jakby ptak.
Choć bym zleciał — — — Boże, Boże!
Cóż? gdy serce me otworzę,
Gdy jej wyznam miłość całą,
Podaż ona rękę białą?
Podaż rękę, pokraśnieje?
Powież do mnie: »Miej nadzieję!«
Powież »kocham!« czy odtrąci?
O! jak to się w głowie mąci —

Może każe aż w mogile
Zapomnienia znaleść chwilę — —
W czwał, mój koniu! w dal, samotny,
Pędzę jako wicher lotny.

Straszno, dziko w nocnej głuszy!
Gdybyż wydrzeć boleść z duszy,
Gdybyż sercu ulżyć trocha,
Co tak wre, tak kocha!
Kiedyś przyjdzie zniknąć z bolu,
Jak jęk niknie w pustem polu,
Którvm rozpacz szlocha.

Tyle jasnych skier na niebie — —
Gwiazdy, kto wam światła dał?
Wy jak ziarna, co po glebie
Doświadczony rolnik siał.
Wielkie dzieło skrytej dłoni!
Wzrok zdumiony ku wam goni,
A w natchnienia blasku dusza
Słyszy, jak się świat ten rusza. —
Ale gdziesz ma droga, gdzie?
Myśl jak sokoł w dal się rwie —
A tam środkiem mleczna rzcka
W poły kraje niebios łan;
Zkąd wypływa? gdzie ucieka?
Siewbę kiedy zbierze Pan?

W czwał — mój koniu, dalej w czwał!...
Księżyc błysnął z poza skał;
Włos mu srebrny spływa z głowy:
Siewby pańskiej to polowy;
Nocą schodzi cały łan,
Czy gdzie szkody nie ma Pan.

Teraz tędy, przez tę błoń,
Zkąd wiatr taką niesie woń,
Środkiem kwiecia, trawy, w dal,
Gdzie się rosa skrzy jak stal,
Gdzie się iskrzą łany całe
Jak by wojska zmartwychwstałe.

Lecę, lecę, konia grzywa
W koło szyi gnie się, pływa,
Za mną wicher dziko śpiéwa.

Przy ogniskach nocnych straże;
Obóz, działa; tam husarze,
Tam pancerni, tam kozactwo,
Król, hetmani, całe bractwo...

— Witam, bracia! o! i u mnie
Dwoje skrzydeł sterczy dumnie,
Twarde piersi, silna ręka,
Broń ostrzona z boku szczęka —

Lećmyż, lećmy w czwał! na boje,
Bronić czyste gniazdo swoje.

Kto wytrzyma tej potędze?!
Lecz gdzie hetman — on — w siermiędze?
— Miejsca! miejsca dlań na przedzie,
On w bojowy tan niech wiedzie!...

Koniu! gdzież my się zagnali?
Tam mogiły widno w dali;
Na mogiłach z dawnych lat
Śpiącej sławy rośnie kwiat.

Za wiek trudów tylkoż tyle?
Wonny kwiatek na mogile?
Stój! niech ujrzę smętny kwiat,
Co tu z dawnych rośnie lat;
Niech go spytam, co nam zdala
Na brzeg rzuci czasu fala? —

Gdybyż teraz, o mój koniu,
Ten zachodni ciepły wiew
Zawiał pieśnią po tem błoniu
Słodką jak piastunki śpiew,
Co to dziecku przyszłość wróży,
Drogę do niejednych bram,

Orli żywot światła, burzy, —
Ach! ja jedną taką znam.

Kiedyż, kiedyż przyjdzie czas?
Krzywda rośnie jako las;
Z polskiej siewby serca rosną
W miłość, jako kwiaty z wiosną;
Hart i mądrość w ducha toni.
Któż podniesie głos: »do broni!...«
Krew jak polny kłos dojrzéwa,
Kiedyż dadzą hasło żniwa?!

W czwał, mój koniu! ciskaj skry —
Serce — stawka strasznej gry;
Pamięć, trumna chwały, strat;
Myśl — latawiec przyszłych lat.
Koniu! dalej; ja na tobie
Setnem życiem żyję w sobie.

. . . .

Cyt! tam błyska ranna zorza;
Ranna zorza, wróżba boża.

1857.

---

*

Za Wieszczami.

Przebrzmiały pieśni! — wieszcze w grób się kładą,
A tak spokojni, jakby nas rzucali
Na bojowisku przy dobytej stali,
Nad skronią wroga zatrwożoną, bladą,
Jakby zwycięztwo było w naszym ręku,
Tysiąckroć w wrogów obwieszczone jęku!

Wróżyli sławę, wróżyli zbawienie,
Dusze słuchaczów wstrząsnęli do głębi —
Ich żar nas pali — a ich chłód nas ziębi —
Łakniem ich głodem, czujem ich pragnienie —
Ufne za nimi obracamy oczy,
Rychłoli wieszczba z niebiosów się stoczy?!

Rychłoli gwiazdy zaćmią ciemne chmury,
Jęk dzwonów — boju godzinę obwieści? —
Rychłoli wietrzyk, co dziś trawkę pieści,
Ponad grobami zawyje ponury —

I odgłos ludu wzniesie się: »do broni!...«
Rychłoli wstaniem?!... wszak wieścili oni.

Gdzie oni?... w grobie! śród mogił ojczystych.
Odkąd nas owi rzucili wielmożni,
Stoimy w smutku, bez przywódców, trwożni,
Niezdolni lotu do tych niebios czystych —
Wołamy, krążąc duszami jak kanie:
»Wieścili burzę... burzę daj nam, Panie!...«

Żuków 5 kwietnia 1858.

Do ... Prośba o orła.

(Przy szyciu szkaplerza).

Sam krzyż? o! krzyża nie dawaj mi, siostro.
Z pierwszą jam marzeń i uczuć godziną
Wziął krzyż i ciernie w sercu tkwiące ostro —
Jak mi to brzemię ciąży? wiesz, dziewczyno.

A jeśli krzyż mi wyszyć chcesz koniecznie,
Wyszyjże orła na odwrotnej stronie —
Orła, co biały, a ku słońcu wiecznie
Patrzy, i trzyma miecz ostrzony w szponie.

Dość już tych modłów bezczynnych do Boga!
Walk nam nie wolno dla krzyża pominąć.
Jam ptak — od Boga szablę mam na wroga;
Mnie walczyć — w walce — patrząc w słońce —
[ginąć.

1858.

Po Mszy za Irydiona*).

Nie postawiono śród kościoła trumny, —
Ni ściany kirem obito do koła;
Tak jak żył wielki, samotny i dumny,
Duch jego weszedł w podwoje kościoła
I u ołtarza stanął niewidomy
Z sztandarem, który miał napis: »Śmierć Romy!«

U wschodów drobna garstka go czekała
Ludu, któremu śpiewał o przedświcie; —
Ani go jedna łza nie powitała,
Ni wejścia dzwonów oznajmiło bicie.
Cichy szedł bardzo z myślami Ligięzy,
Wlokąc u stóp swych potargane więzy.

I on sam żalu ani łez nie żądał:
Za wielki, by mógł żalem być objęty!

*) Po mszy żałobnej za duszę ś. p. Zygmunta Krasińskiego, zmarłego w Paryżu 24 lutego 1859.

Oczyma duszy każdy go oglądał,
Jak stał w natchnieniu swojem wniebowzięty.
Organy smętny ton psalmów zawiodły,
A trzej kapłani odprawiali modły.

Czy Massynissa obudził się w grocie? —
A anioł kazał iść w krainę krzyżów?...
A Roma stoi?... Roma jeszcze w złocie
Wraz z światem pełna przekleństw i pręgierzów;
Robactwo czołga się po skale Piotra
I ma krzyż jeden na Chrysta i łotra,

I długo jeszcze będzie szydzić Bogu,
Z łotrami wieszać wraz jego wysłańców...
Lecz tyś już stanął na wieczności progu,
Gdzie twój wzrok nie ma cieni ani krańców,
Więc wiesz, gdzie, kiedy i przez jakie boje
Czy nami wstaną wieszcze pieśni twoje.

Wiesz, — jak wiedziałeś, że się krwią obroczym.
I ognie wzniecim, my lub nasze wnuki;
Że możnych gruzem dumnych grodów stłoczym,
I trony carów rozszarpiem na sztuki;
Ani ci tajno, że my — dzisiaj drobni,
Będziem niedługo w bojach lwom podobni.

A teraz odchodź z ziemi, wielki duchu,
Odchodź, gdzie pierwej już poszli dwaj twoi;
My ręce skrwawim na naszym łańcuchu,
Aż łańcuch w rękach przybierze kształt zbroi,
Aż z nieb uderzy wielka chwila czynu
Dla nas i wrogów...
Odchodź, polski synu!

Lwów 3 marca 1859.

Zachcenia.

Dola mi sprzyja: gdzie zwrócę oczy,
Twarz mię spotyka życzliwa,
A jednak smutek serce mi toczy,
Tęsknota duszę porywa.

Tam — tajemnicze nęcą mnie światy,
Któremi cicha noc pała,
I chciałbym takie obaczyć kwiaty,
Jakich ta ziemia nie miała.

I pragnę ujrzeć zmartwychwstające
Narody z anielską chwałą —
Albo pioruny takie palące,
By się aż niebo spękało.

I słyszę nocne słowików granie...
Wiosenno — błogo tak wszędzie.
Ach! kiedyś — kiedyś wszystko się stanie
Piękniejszem, lecz mnie nie będzie.

1859.

W pamiętniku p. Felicji Boberskiej,

(naówczas panny Wasilewskiej).

I znowu — pielgrzym — rzucam cichy kątek,
Znowu w świat szukać — czego? ach, pamiątek,
I pytać kości, co po niwach leżą,
Jak im się marzy tam pod darnią świeżą.
A sen ich musi być twardy: po bojach
Śpią ojce wsparci na zwycięzkich zbrojach;
My czy tak będziem spać?...

Ta rana stara
Pali! Oh, gdyby nie ta twarda wiara
W przyszłość, co trzyma w żelaznem objęciu
Pierś, jużby dawno była śmierć dziecięciu!
Błogosławiłbym śród konania sobie,
Że się spać kładę koło ojców w grobie,
Tak duszno w świecie dziś!...

Przyszłości ręka
Koi mi serce w bolu — toż nie pęka.

Idę — i smutno z wami się pożegnać;
Ileż to wspomnień z serca-by odegnać,
Aby weselej iść?...

Ból mój i radość mą dzieliłem z wami,
Jak gdyby z matką moją i siostrami;
Drzewo pamięci stoi — nie spadł żaden liść.

Może powrócę w pamiątki bogatszy
I spokojniejszy; może licem bladszy,
Bo cierni dużo w drodze...
Może bogatszy w pieśni złotogłose, —
Nie wiem; lecz serce ze sobą przyniosę
To samo, z którem odchodzę.

Lwów, 1859.

W domu przyjaciela.

Pokój z wami słoneczny! — nad waszemi głowy
Niech się wiecznie uśmiecha błękit lazurowy.
Niech będzie cisza z wami — a nad waszym domem
Niechaj się nigdy chmura nie wstrzymuje z gromem;
I niechaj każdy czyn wasz będzie miły Bogu —
A niech tylko gość bratni stawa w waszym progu.

Słodko mi patrzeć na was, żeście tak szczęśliwi! —
Ciszej mi w dzikiej piersi, ducha radość żywi...
Wszędzie mnie oczekuje jeszcze trosk tak mnogo:
U was jednych myśli me w ciszy spocząć mogą.
A przyszłość wasza tak mi nic serca nie trwoży,
Jakby mnie już zapewnił o niej anioł boży.

Żegnam was! dom wasz biały zostawiam w pokoju.
Gdybym mógł was powitać po wielkich dniach boju!
Gdybym wonczas mógł witać, kiedy wolne rzesze
Przekują karabiny na sierp i lemiesze,
Gdyby... Ach! najgorętsza to modlitwa ducha!...
Cicho!... niebo otwarte... może Bóg nas słucha?!...

Medyka, 6 lipca 1859.

Wezwanie bogów.

Wieki się rodzą, przemijają wieki!
Wy, możne bogi, z górnego siedliska
Bez trosk patrzycie w czasów prąd daleki,
Czy pała Febus, czy Zeus gromem błyska;
Czy Posejdaon sine wstrząsa morze,
Ni grom wam straszny, ni tańcząca fala;
Młodości waszej wiecznie wstają zorze. —
Ale nam nie tak, cośmy od was zdala,
Przetoż was wszystkich z wysokiego nieba,
Wszystkich zapraszam!...

Hory, jako trzeba,
Na nieśmiertelnych Kronidów przybycie
Niechaj urządzą godnie moje życie.

O miejcie umysł wy ku prośbom skłonny!
Jeśli was cieszy ofiary dym wonny,
Jeśliście kiedy śmiertelnikom radzi,
Z darem ku ziemskiej śpieszyli czeladzi,

I Prometeja ród wspierali hojnie,
To nie odrzućcie prośby bogobojnie
Lecącej do was: nieśmiertelnej siły
Pełni, zestąpcie w mój domek pochyły!

Czem bo nam życie bez was, możne bogi?
Wędrówką oto ślepych po bezdrożach,
Błędnym korabiem, którym wicher srogi
Miota dowolnie po huczących morzach;
Lub pierś się stawa dziką matką zbrodni,
Na te Nemezis z gadzinami czeka.
Biada, o bogi! gdy waszej pochodni
Blask nie oświetli żywota człowieka:
Pomimo słońca w ciemnościach on tonie,
Nim go niepamięć na wieki pochłonie.

Znam Afrodytę z jej trawiącym darem,
Sercu na przemian lubym i bolesnym;
Jeszcze jej ołtarz płonie dotąd żarem,
I dusza smutkiem napawa się wczesnym;
Przyszła bezwiestna i niezaproszona
Spróbować, kto możniejszym, ja — czy ona?

Możnaś, bogini! czuję twoje ramię.
Lecz nie sądź przeto, że mój duch się zegnie,
Że się ze sercem szarpiąc, w poły złamie,
I przełamany tak u stóp twych legnie...

Gdybyś od innych niepoparta bogów
Twą bronią tylko z mym się zwarła duchem,
Jużbym cię dawno odegnał z mych progów,
I szydząc, wiewnym nazwałbym cię puchem,
Mgłą, co Irydy kolorami błyska,
Serce zabawia chwilę... łzy wyciska.

Aleś ty wszystkich miała po swym ręku,
Wszystkich mieszkańców Olimpu i nieba,
Każdy ci dodał do twojego wdzięku
Swych darów właśnie tyle, ile trzeba,
By zająć serce szlachetne i młode,
I w duszy długą wzniecić niepogodę.
Lecz nie tryumfuj, zuchwała bogini,
Ciesz się tem, co już na ołtarz ci dałem,
Inak się zaprę ciebie wśród świątyni
Twej... Wiedz, że ja piękności nie kochałem!

Możny Kronido — Zeusie gromowłady!
Febie słoneczny z wiosennem obliczem,
I ciebie, Pallas — piastuni Hellady,
Oboje z waszem godłem tajemniczem;
Ciebie, Hefajstos, któryś kuwał zbroje,
Miecz obosieczny i tarcz Achillową;
I ciebie, Ares kochający boje,
Demetro! ciebie pól żyznych królowo,
Wzywam, przybądźcie!

Obłoki niech pierzchną,
Swiat nasz przed wami niechaj się odsłoni,
Ty, Zeusie, powstań z twą potęgą zwierzchną
I patrz, ile tu łez co dnia się roni
W nieszczęściu!

Orła twego z piorunami
Ześlij mi, niechaj koło mnie usiędzie,
Na piersiach moich niechaj śpi czasami,
Poda grom w rękę, gdy mi trzeba będzie:
Gdy się Giganty na mój ród rozsrożą,
Kiedy Pers przyśle posły — żądać ziemi...
Gdy się wśród braci podłości rozmnożą,
Tak — iż zapomną, że dziećmi orlemi
Są, że im tylko orlo żyć przystoi...
Zeusie, gdy podłość tak u nas zwycięży,
Że czołgać będą się jak gady — moi —
Praojców wyprą się i ich oręży...
Lub kiedy pójdą, jak wielu już czyni,
Próg zmiatać czołem w Azjatów świątyni...
Wonczas im w drodze ty Pallas z egidą
Stań, — niech, w Gorgonę patrząc, kamienieją.
Ja gromem przyjmę tych, co żądać idą
Ziemi; Giganty niech z trwogi zblednieją!
Niech w proch strzaskani padają do koła
I wstać przed nami nie mają odwagi;
Niech wiedzą, w skrusze pochyliwszy czoła,
Że mój ród pełen orlej jest powagi.

Zeusie! ty w dali — a twą wierną Geję
Mnogo fałszywych Olimpów uciska;
Każdy z nich z twojej potęgi się śmieje,
Orła ma każdy dla urągowiska;
A zaś we wszystkich słychać łomot głuchy,
Bowiem Hefajsty tam kują łańcuchy,
Pallas głupotę miast mądrości sieje,
A Hermes'ami zbóje lub złodzieje...

Na nich, o Zeusie! ześlij orły twoje!
Na nich, Hefajstos, ty ukuj mi zbroję!
Na nich, Aresie, kochający boje!

Febie słoneczny, we wiecznej młodości,
Z twą złotą lutnią teraz ciebie wzywam!
Twa jasność niech się w mej piersi rozgości,
Moi — niech żyją tem, co im wyśpiewam!
A racz kierować palce u mej ręki:
Ilekroć będę śmiał tknąć się bardonu,
Niech go ton wówczas nie znieważa miękki,
Lecz Salaminy głos lub Maratonu.
I daj, jeśli mię Ares nie powoła,
Na Termopilach ledz jak trzystu owych;
Daj mi, o Febie! z blaskiem twego czoła
Po bojach śpiewać chwałę bojów nowych.

Aresie! naprzód na strasznym rydwanie!
Z mieczem, z pochodnią, z włócznią zleć, Aresie!

Bo milszem nam jest włóczni twych błyskanie
Od gnuśnej ciszy... zleć, niech bój się wzniesie!
My postawimy naszych piersi męztwo...
Ty — daj zwycięztwo!

Ty zaś, Pallado pogodnie patrząca,
Marnemi blaski nie daj mi się łudzić!
Niech mi dłoń twoja ciemności roztrąca:
Daj mi upadłych podnieść — śpiących zbudzić,
Na nędznych, proszę, daj Gorgonę twoją,
Niech kamienieją źli na me szyderstwo;
Wstydu niech pełni przed świątynią stoją
I przeklinają własne przeniewierstwo.

Pallado! zadrżeć nie daj mi przed niczem!
Choćby mię wszystkie opuściły bogi,
Ty jedna zostań z twem jasnem obliczem.
Pallado! a gdy śmierć przyjdzie w me progi,
Błękitne oczy twe zatapiaj we mnie,
Dopokąd duch mój nie uleci ze mnie
Spokojny!...
Z górnych nieb zstępujcie, bogi.

1859

---

*

Co tam marzyć!

Co tam marzyć o kochaniu,
O bogdance, o róż rwaniu —
Dla nas nie ma róż!
My — jak ptacy na wędrówce —
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już.

Co śni serce, niech raz prześni!
W twarde życie twarde pieśni
Niech wiodą jak w tan.
A miast ręce — rękojeści
Szczery uścisk! gdy obwieści
Z niebios chwilę Pan.

Szczęście, dola później może —
Ach! lecz tylko ty wiesz, Boże,
Co tam spotka nas.
Ty wiesz, komu uśmiech miły,
Komu kwiaty na mogiły
Niesie przyszły czas.

1860

Audaces juvat fortuna.

Komu tu duszno? Kto tu znużony
Walką w zwycięztwo nie wierzy?
Czy się wyrzekły duchów miljony
Krwi swych słonecznych szermierzy?
Czy do poświęceń nie ma nikogo?
Czy natchnień pękła już struna?
Precz! małoduszni z twarzą złowrogą —
Audaces juvat fortuna!

Żyzna ta ziemia w krew i w nieszczęście,
Kochanka śmierci aniołów.
Lecz się jak Fenix w orężów chrzęście
Do życia budzi z popiołów.
Krwią się nasz zasiew krzewi i pleni, —
Z pod grobowego całuna
Wstańmy i wzlećmy życiem płomieni! —
Audaces juvat fortuna!

Ho — ho! nie straszcie wy nas grobami,
My znamy czarne ich wnętrza.
A czem gorętszy piorun nad nami,
Tem nasza miłość gorętsza.
Ręka do ręki na uścisk bratni!
Nam śmierć na polach — nie truna;
Upadnie pierwszy, stanie ostatni —
Audaces juvat fortuna.

A czy zwyciężym? Któż ptaków pyta,
Czyli przelecą przez morza?
Dla płochej rzeszy droga ubita,
Na mężnych leży moc boża.
Skłońmy się Bogu i Pannie świętej
O oręż, o moc pioruna.
A kto raz zadrży, trzykroć przeklęty —
Audaces juvat fortuna.

1860.

Hymn polski.

Ojczyznie naszej, Polsce bądźmy wierni
Pokąd tchu w łonie.
Stójmy wytrwali, gdy wieńce nam z cierni
Kładą na skronie.
Nieszczęścia i klęski niech miłość połamie.
Czy dźwiga nas dola, czy chytrze nam skłamie,
Ojczyznie tej życie, krew nasza i ramię
I chwała w zgonie.

Tu nam w kolebce dał Bóg światło dzienne,
Tu żywot w znoju.
Konając, głowy tu pochylim senne
W chatach lub w boju.
Tu bracia mrą nasi od ciosów tyrana,
I świadczą, że ta nam od Boga wybrana
Ojczyzna! — ta Polska codziennie kąpana
W łez i krwi zdroju.

Tu groby ojców sława opromienia;
Tu śpią ich kości.

Tu nam się dobić po dniach utrapienia
Świętej wolności.
Tu przetrwać nam klęski i szarpać kajdany, —
Tu rodzą nas Sawy, Puławscy, Rejtany,
I »hetman w sukmanie«, co kochał sukmany —
Tu żyć w miłości.

O! Swięta, patrzaj: w twoją krew czerwoną
Maczamy dłonie.
Pokąd ty w grobie, potąd żadne łono
Szczęściem nie spłonie.
Niech ostrzy wróg miecze, niech w ludach duch
[stygnie —
Synowska dłoń ciebie z przepaści podźwignie,
I będzie Bóg poczczon, a szatan się wzdrygnie
I car w koronie.

Stójmyż gotowi jak straż czuwająca,
Bo nikt nie powie,
W który dzień trąba zawezwie nas grzmiąca
Matce nieść zdrowie.
A wonczas jak piorun, co kruszy i pali,
W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,
Lub gińmy szlachetni jak ojce konali —
Polski synowie.

1860.

Na dziś.

Będzie z was każdy żywił świętą wiarę
W miłość, w jej żywot śród ludzi bez końca.
Sam będzie kochał; ludu dzieje stare
Przed wzrokiem duszy postawi jak słońca.
Słońc tych promieniem serce przyodzieje
I pójdzie ojców bohaterskim śladem,
I w czynach swoich ukocha nadzieję,
I będzie spokój miał na czole bladem.

A chleb wam obcy stanie się niemiły,
I nikt z was u nich drogi nie zapyta;
Lecz każdy uczci naród i mogiły,
Jak rolę, w której śpi przyszłość spowita.
Nie patrzcie, czy wam przypadnie plon zbierać.
Naprzód! — a z piersią do poświęceń zdolną!
I nauczycie się co dnia umierać —
Ale rozpaczać nigdy wam nie wolno.

A gdy wam rzekną, żeście lud umarły,
Gdy wam zaprzeczą krwawej pracy plonu,

To wy z litością patrzcie na te karły,
Którym już wytknął Bóg godzinę zgonu.
Wszystko czas skruszy! — miłość się ostoi.
Niechże serc waszych trwoga nie przenika,
Bo kto się takim orężem uzbroi,
Ten ma wśród bitew w Bogu naczelnika.

Tak z pokolenia idźcie w pokolenie,
Płomienni sercem — we wiecznej młodości;
Niechaj krwi ojców ożywcze strumienie
Potężne dęby pędzą z latorośli!
Pieśnią zbawienia będziecie śród ludów;
Zwątpiałych fala słuchając was mnoga
Niech się obaczy porwaną w świat cudów,
Z cudów za wami niech idzie do Boga.

Szczęśliwy! komu los hartował bolem
Miłość — kto gorycz w ciszy pił aż do dna;
Nad płaz się bowiem wzniósł jak ptak nad polem,
Dusza w nim czynów piorunowych głodna.
On będzie w słowie miał moc błyskawicy,
Proroctwo święte w utrapienia chwilach,
Lub archanielski miecz w swojej prawicy
I Leonida śmierć na Termopilach.

1860.

Kochałem-kocham.

Kochałem dziewczę... jasne miało oczy,
Czarowny uśmiech, a jednem spojrzeniem
Tyle, bywało, światła na mnie stoczy,
Że staję przed nią cichy, i ze drżeniem
Czekam, czy skrzydeł nie rozwinie dwoje...
Kędyż ten anioł mój? gdzie szczęście moje? —

Darmo jej w świecie szukałem tęsknotą —
Daremnie smutek wyrywałem z łona.
Lecz jeszcze miałem jedną gwiazdę złotą,
Miałem przyjaciół braterskie ramiona;
Los nas na różne porozganiał szlaki,
Na różną dolę. — Kędyż moje ptaki? —

Nie stało moich — poszedłem do ludzi;
Anioła, braci serce tam szukało.
O! niech się nigdy w pamięci nie budzi
Ten czas!... Przebaczam! serce przebolało.

Dziś już niczego nie chcę od tej rzeszy —
Ona mię gniewa czasem — więcej śmieszy.

Dziś pokochałem mary smętne, dumne,
W głębi mej duszy zrodzone z promieni;
Wiem, że czas dla mnie ma starość i trumnę,
Lecz dla nich tylko światło... ich nie zmieni.
One stać będą nademną i światem
Wiecznie wyniosłe, uśmiechniętem latem.

Dziś kocham przyszłość od gromów czerwoną,
Która ojczyznie mojej z niebios zleci.
Gdy cisza święta ogarnie mi łono,
Ten dzień, ta chwila tak przedemną świeci,
Że — proch — przed Bogiem z radości w proch
[padam,
Bo czuję, że sam w ręku gromem władam.

1861.

Do modlącej się Polski.

O! módl się, Polsko, — dziś ci jeszcze pora
Czerpać otuchę w modlitwie i pieniu.
Miłą jest niebu piersi twej pokora
I ból w twem słowie i łza w twem spojrzeniu.
W cichości jeszcze Pan twych modłów słucha —
O! módl się, Polsko, i pokrzepiaj ducha.

Jak w przeddzień sądu świat pełen jest lęku;
Niepewne skrzydła czas po nad nim waży.
Anioł twój jeszcze klęczy z urną w ręku,
Skrzydłami srebrnych łez nie otarł z twarzy,
I słucha pieśni, co ku niebu płynie;
Jeszcze jest smutny, lecz wie o godzinie...

Jeszcze czas! módl się, błagaj przebaczenia;
Ziemię w niebiosa podnoś w twojem łonie.
Przebaczaj winnym, ciemnych ratuj z cienia,
Miej dla zachwianych miłujące dłonie,

I wodź do świątyń i mów: że tu ciekła
Krew z twego serca na zagubę piekła.

Módl się — lecz powstań na świtaniu zdrowa,
Wyniosła pracą ponad zwątpień bole.
Sumienia twego, Polsko, tarcz stalowa
Światu niech bożą odzwierciedli wolę.
Tak wyjdź przed domy i stań po twej męce
Wsparta na pługu, z szablą w prawej ręce.

Bóg cię nie zmienił na wieczną łzawnicę,
Matko wyniosłych duchów i rycerzy.
Gdy dzień twój błyśnie, anioł w błyskawicę
Rzuci krew z urny i w skrzydła uderzy:
Krew ta czerwono nad światem zapała,
Ale ty czuwaj, byś nie przesłyszała.

A gdy usłyszysz, śpiesz na bitew pola,
Orężem wrogom kreślić twoje prawa.
Trąć z mogił harfy żałobne Eola,
Za sztandarami wznoś radośne »sława!«
I walcz, pamiętna, że Bóg — czynów Bogiem,
Walcz, Polsko, jak lew na polach z twym wrogiem.

Lecz biada tobie! gdybyś jak dewotka
W kościołach gromów przemodliła porę.

Tam nieochybne zniszczenie cię spotka,
I Bóg zostawi cię jak dziecko chore,
Klęczące we łzach na kościelnym progu,
A tylko z modłów wiedzące o Bogu.

Obcej cię wonczas poruczy prawicy,
Abyś w cierpieniach dorosła na męża.
Lecz nie! ty czujesz hasło w błyskawicy,
Ty wiesz, że wkrótce czas dobyć oręża
I stanąć w polach, jak przed latyś stała — —
O! czuwaj, Polsko, byś nie przesłyszała.

1861.

Pieśń młodej wiary.

(na nutę pieśni Żyrondystów).

W górę serca! świat się pali,
Sądy boże głosi dzwon.
Próchno zbrodni w gruz się wali,
W gruz przemocy leci tron.
Dość już kajdan, łez i kłamstwa dróg!
W piersiach ludu zmartwychwstaje Bóg.
Cary — zbiry, z drogi, precz!
Z narodami Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami,
Cary, zbiry z drogi, precz!

W górę serca! Polska wstaje,
Krwią obmyta z krwawych plam.
Uścisnęła ludy, kraje —
Ludom rzekła: »Pokój wam!«
Chwała Panu! sługom czarta zgon!
Święta nasza idzie zasiąść tron!

Z drogi cary! zbiry precz!
Z polskim ludem Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami,
Z drogi cary, zbiry precz!

Ze sztandaru orzeł biały,
Biały anioł z błoni róż
Wieje skrzydłem w pola chwały,
W pola zwycięztw, śmierci, burz.
Za nim! za nim, kędy zwróci lot,
Nagie piersi nieśmy w bitew grzmot!
Z drogi cary! zbiry precz!
Z polskim ludem Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami,
Z drogi cary, zbiry precz!

Gdzie najgęściej śmierć powiewa,
Z piersi naszych zróbmy wał.
Umierając Polak śpiewa —
Pocałunkiem jemu strzał.
Ty nam, Święta, żyj po wieków wiek,
Od mórz dawnych aż do dawnych rzek!
Z drogi cary! zbiry precz!
Z polskim ludem Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami,
Z drogi cary, zbiry precz!

Kto polegnie, temu sława
Za spełniony syna ślub.
Kto się zlęknie — hańba krwawa,
Hańba i bezczesny grób.
Idźmy! — za nas tam przed Boga tron
Lecą modły matek, sióstr i żon.
W piekło cary! zbiry precz!
Z polskim ludem Bóg i miecz.
Bóg nad nami
Z piorunami,
W piekło cary! zbiry precz!

1861.

Czy wiosna?

Zkąd lecą ptacy? lecą z daleka,
W powietrzu gwarzą radośnie.
Czy to już wiosna? Serce jej czeka,
Śni nieustannie o wiośnie.

Czy już zielone pola, dąbrowy?
Czy czas wyruszać na boje?
Jeszcze na błoniach lśni puch śniegowy —
O! ucisz, serce, sny twoje.

I ty, mój koniu, czekaj spokojny,
Masz siano wonne we brogu.
Lecz ty się z wiosną gotuj do wojny!
Z orężem czekaj nas, wrogu!

1862.

Arcy-mistrz.

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru,
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny;
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku —
— A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali —
— A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli tworzyciela.

Sztukmistrzu ziemski! czem są twe obrazy?
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
— A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu.

III.

Czem ja tobie się odwdzięczę.

Czem ja tobie się odwdzięczę
Ach! za te godziny?
Czy cię ubrać w pieśni tęczę —
W perły — czy w rubiny?

Na twe skronie blaski rzucę
Zorzy wieczornicy?
Czy jak słowik ci zanucę
O mojej tęsknicy? —

Powiedz, — powiedz! jam ci dłużny
Wiele, o! tak wiele! — —
Srogo bolał ptak podróżny...
Ty — dałaś wesele...

Radość sercu! — skrzydłom pióra
Uronione w burzy! —

Teraz mi nie straszna chmura:
Niech się niebo chmurzy!

Znane szlaki mi po niebie
Te szlaki bez końca...
Skiń, polecę tam dla ciebie
Chociażby do słońca.

Lecz skiń na mnie, rzucę gwiazdy,
U nóg twych usiędę,
I z nadziemskiej mojej jazdy
Złotą nić uprzędę.

Cudną niebios harmoniją
Ducha ci napoję...
Powiem, jak tam serca biją:
Dziewczę! wiesz? — jak twoje!

20 grudnia 1857.

Sonety.

I.

Dziwnie my się spotkali na żywota drodze:
Tyś już miała świat marzeń i byłaś wesoła,
Jam się zbliżył, twej krasie uchyliłem czoła,
Potem poznał, pokochał i rozbolał srodze.

Skarb twej duszy w mą duszę jak w wnętrzu
[kościoła
Złożyłaś ufna we mnie, — ja spokojny chodzę
I tobie błogosławię... i z losem się się godzę,
A jak? śpytaj mych nocy i mego anioła.

Jasno mi a znam piekło, pierś go się nie zlękła;
Toż i ty się nie lękaj, jeśli czasem zbladnę:
Chwyciłem boleść w dłonie — boleść jak wosk
[zmiękła,

A dziś mi harfą życia, którą, jak chcę, władnę...
Siostro! — słyszałaś zgrzyt ten?... Struna żalu
[pękła...
Twe serce czuję w łonie... kocham! toż nie padnę.

II.

Widziałem cię w kościele! — dzwonek mszę
[ogłosił...
Wpatrzyłem się, — klęczałaś kornie pochylona
I tęskna jako lilja... Modlitwą natchniona
Nie widziałaś, jak anioł nad tobą się wznosił.

Lecz jam go czuł po ciszy, co weszła do łona,
Po promieniach, którémi czoło moje zrosił;...
Szedłem za tobą w niebo... o nic'em nie prosił, —
Tak była tobą samą dusza przepełniona.

Chcesz? twą całą modlitwę powtórzyć jam zdolny...
Dziękowałaś za życie, jako ów u zdroju
Za garść ziemi dziękuje Panu kwiatek polny...

Potem błagałaś Boga o wielki dzień boju...
Potem — aby nagrodził twoim trud mozolny...
Modląc o szczęście... dla mnie modliłaś spokoju?!

Lwów, wspominek mszy, 31 maja 1858.

Na rozstanie.

Aniołeczko! dziewczę moje,
Na rozstanie rączkę daj.
Grają trąbki, czas na boje
Za rodzinny kraj!

Za was, róże! za rodziny —
W bój za naród z pól i z chat!
Ach! czekalim tej godziny
Łzami długich lat.

Podaj rączkę, na mem czole
Swięty znak mi krzyża złóż.
Liczne ptactwo lecim w pole —
Iluż wróci z burz?

Wiele mogił śmierć otworzy,
Sercom zada wiele ran —

Głowy zliczył anioł boży,
Bojem rządzi Pan.

Módl się za nas, liljo biała!
Bogu poleć serca żal;
Tyś powstańca pokochała —
Pobłogosław stal!

1863.

IV.

Tymoleon z Koryntu.

I.

Z Akrokoryntu cudnej przystani
Dziesięć naw płynie po wód otchłani.
A lud je żegna okrzykiem —
I błogosławiąc, bogom poleca:
»Niechaj wam niebo drogę oświeca
»W Żegludze po morzu dzikiem«.

»Płyńcie, o bracia, do Syrakuzy,
»Twierdze tyrana obróćcie w gruzy,
»Niech prawa ludów nie targa!«
A Tymoleon tam na pokładzie
Rękę na sercu z przysięgą kładzie:
Że w hymn zamieni się skarga!

I odpłynęli i znikli w dali....
A do Koryntu wrócił ślad fali
I głośno bije o brzegi:
»Od Syrakuzy wiatr mię przynosi!

»Słuchaj, Koryncie! — fala wieść głosi —
»Zniszczone wrogów szeregi!«

»W Sycylji płoną dziś hekatomby,
»Sławę Koryntu rozgłoszą trąby;
»Dyoniz miastem nie włada!
»Tam Tymoleon — i z swobodnymi:
»Zwalczył tyrana na bratniej ziemi,
»A teraz w radzie zasiada.«

II.

Po Dyoniza zwalonym grodzie
Wolnego ludu płyną powodzie,
Głos leci skrzydłem latawca:
»Sławmy, o bracia, Koryntu syna!«
A z rąk matczynych rwie się dziecina
Spojrzeć, gdzie ojciec, gdzie zbawca?!

Dziewice drogę ścielą kwiatami,
Echo o morza bije pieśniami:
W mieście weselne dziś gody.
Ha! czy widzicie Tymoleona?
Na jego skroni z laurów korona —
»Witaj, o mężu swobody!«

I w Syrakuzie starców gromada
Z palmami w ręku rynek obsiada —

Czyj głos do serca tak sięga?!
To Tymoleon, ludu obrońca,
Dzieło swobody wiedzie do końca:
Z ludem ustawy przysięga.

Patrzcie, jak cudna twarz bohatera!
O! jak swobodnie w niebo spoziera,
Że mu dotrzymał przymierza!
I łzą radości oko się rosi,
I serce łonem dumnie podnosi —
Bo serc tysiącem uderza!

III.

Czyjże to rydwan do Syrakuzy
Naród z hymnami ciągnie przez gruzy?...
Patrz! na nim starzec zgrzybiały...
Słodycz niebiańska krasi mu lica,
Choć oczy kryje wieczna ciemnica,
Co w boju słońcem pałały.

Młodzież uwieńcza rydwan bogaty
I kornie starca całuje szaty:
Miłość zwierciedli wzrok łzawy.
I biją głosy; »Tymoleonie!
»Ty żyjesz wiecznie we wdzięcznem łonie.
»Święte nam twoje ustawy!«

Starzec ku niebu obrócił lica,
Radość mu skronie blaskiem oświéca,
Rękę do serca przykłada.
Lecz nagle zadrżał... pobladły skronie...
Ha, nitka życia pękła mu w łonie:
Zabity szczęściem — upada!

Skwar mu na bojach wypalił oczy:
Łza z ciemnej rzęsy już się nie stoczy,
Skryła się — tam — za powieki...
A wdzięczność ludu wybawionego
Tak rozrzewniła wybawcę jego —
Że szczęśliw usnął na wieki!

Grobowiec stoi na rynku miasta,
Nad nim swobodnie palma wyrasta:
Tymoleona to szczątki.
Lud Syrakuzy z wiosny powrotem
Co rok tam płynie wesołym splotem
Uwieczniać męża pamiątki.

1854.

Rolnik podolski.

Cztery wołki na ugorze
Ciągną pług przez pole.
Dumkę nucąc rolnik orze;
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczono bój z Tatary,
Zboże mu wyrasta:
Wiek z pamięci wypadł stary
Podolskiego Piasta.

Nie wie, kto mu kruszył pęta,
Kto mu niósł zniszczenie.
Sercem ledwie zapamięta
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiej przeszłości...

Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu żal się budzi:
Westchnął, pacierz wzniósł do Boga
Za pomarłych ludzi.

1855.

Sztandary polskie w Kremlu*).

Grzmią huczne dzwony na Kremla szczytach,
Car świętej słucha ofiary.
A na wyniosłych cerkwi sufitach
Polskie się chwieją sztandary.

»Sława — o! sława« — zagrzmiały chóry —
»W pęta car zakuł czerń laszą!
I zaszumiała odpowiedź z góry:
»Za waszą wolność i naszą!«

»O! buntowszczyki, po carskiem słowu
Przysięglim na zgubę laszą!«
I zaszumiało u góry znowu:
»Za waszą wolność i naszą!«

*) Sufit kremlińskiej cerkwi obwieszony jest sztandarami wszystkich narodów, z któremi Moskwa wojowała. Nad carskim tronem wiszą zdobyte na Polakach sztandary z godłem: »Za waszą i naszą wolność«.

Umilkły śpiewy, zgasły ofiary,
Car słucha, szepty go straszą —
Spojrzał: nad głową szumią sztandary:
»Za waszą wolność i naszą!«

1857.

Konfederat w Kałudze.

(Dumka).

Miałem chatkę śród Podola
I zasiane zbożem pola;
Chatka, brogi, koń przy żłobie,
I pradziadów prochy w grobie.

A na ściance, tuż u łoża
Częstochowska Matka Boża,
Ta już ósme pokolenie
Wiodła w radość i w cierpienie.

Pod nią klejnot, herb rodowy
I wygięty kord stalowy;
Pod Chocimem, cześć Janowi,
Wziął go pradziad Emirowi.

Wody Dniestru w dal się wiły,
Księżyc patrzył na mogiły,

W noc marzyła czerń wioskowa
O Łużeckim z Budzanowa.

Wiosna życia, krew nie woda!
Pokochała dusza młoda...
Hej! co pany, co hetmany!
Pokochałem, sam kochany.

Raz wioszczynę w noc z nienacka
Czerń napadła hajdamacka.
Oh! pamiętam, już ją brali...
Wpadłem — aż się czarci śmiali.

A za chwilę uwolniona
Krew zmywała z mego łona;
Oh! jam z lubą Boga sławił —
Że nie inny ją wybawił.

Załamała lubka dłonie,
W głowie, w sercu wojna płonie;
Płacz zawiodła na obszarze,
Bóg dał Moskwę gromić w Barze.

Nie pomogły płacz i żale:
Grzmi Puławski, drżą Moskale,

Hej! gdzie okop świętokrzyski
Śmierci biją pokłon niski.

Ptak złowrogi mnie oblatał,
Kiedym Moskwie karki płatał:
O! wywróżył kruk niecnota —
W plen chwyciła mię hołota.

I pognali do Kaługi,
Obcym ludziom na usługi...
Jam tęsknotą piersi znużył;
Pies w niewoli bogdaj służył!

Już od brzasku na plac gonią!
Ojciec uczył robić bronią
Na krajowe, hej, usługi,
A ja carskie sprawiam cugi.

Żal się Boże! dłoń opadła,
Oh! przed czasem skroń wybladła;
Ni pożalić się tu komu...
Gdybyż jakie wieści z domu!

Moja chatka śród Podola,
Hej! mogiły, moje pola!

Dziewczę rybka po mnie płacze, —
Ja was nigdy nie obaczę.

Mniejsza! choć pierś pęka z bolu, —
Dziewczę płacze, chwasty w polu:
Ktoś zasieje na zagonie...
Oh! a co tam dziś w Koronie?!

1857.

Ostatnie słowa.

Czas ucieka,
Wrony koń go czeka;
On padł jej do nóg i płacze:
»Już cię nigdy nie obaczę!« —
Dosiadł konia,
W czwał przez błonia
Poleciał, a tam grały pobudkę trębacze.

A dziewczę zostało
Pod zagrodą białą;
Marzy:
— On tak kocha. — Nie może go kochać...
Marzy, nie wie, czy śmiać się, czy szlochać —
Smutek potem rozlał się w jej twarzy:
Dusza czuła
Jego los przeczuła.

A on leci, twarz mu ogniem pała...
Tam — grzmią działa.

»W czwał na działa!« padło od komendy,
W czwał pomknęły wojowników rzędy;
Huk od kopyt głuszy szczęk oręży,
Spisy błyszczą jakby żądła węży,
Kule lecą jak grad, ziemię ryją,
I świszczą i wyją;
Trąby grzmią ze wszech stron,
A co strzał, to komuś zgon.

Z kłębów dymu koniem się wytoczył,
Spiął go, pierwszy między działa wskoczył,
Szablę we krwi zbroczył.
Gdzie był sztandar na wale zatknięty,
Legł u wrogów mąż przy mężu ścięty.
Wtem twarz mu zbielała —
»Wzięte działa!«

Tak walczono na ziemi
A górą leciał anioł z skrzydłami czarnemi.

I zesiedli wojownicy z koni,
Obstąpili towarzysza broni;
On leżał na ziemi.
Konał; — usty spalonemi
Cicho wyszeptał imię —
Imię, co z jego duszą wraz na gwiazdach drzémie.

»Szkoda go nam!« rota zawołała. —
Wieczór nad nim mogiła już stała —

*
* *

Dziewczę stało
Pod zagrodą białą.
Ten smutek zkąd u jej czoła?
— Zginął w boju! — Nie mogła go kochać —
Marzy smutno i poczęła szlochać...
Smutek, to cień od skrzydeł anioła,
Cień litości — bo wie, że jej imię
Z jego duszą tam na gwiazdach drzémie.

1858.

Zaklęte ptactwo.

We mgłach szczyty Jawornika,
Dołem huczy Prut spieniony.
Okolica górna, dzika,
W prawo w lewo bór zielony,
A samotna w borze skała
Jak grobowiec samorosły
Jakichś mogił strzeże biała;
Na tej skale świerk wyniosły.

Tam zaklęte siedzi ptactwo;
Na świerku się orzeł strzępi,
Dalej siadło niższe bractwo:
Białozory, krucy, sępi.
Po urwiskach kanie siedzą,
I jastrzębie zczarowane;
Sokołowie przepaść śledzą,
Topią oczy zadumane...
W ciemnych krzakach oniemione,
Siedzą jakby w śnie słowiki,

A oczęta ich natchnione
Połyskują jak promyki.

Przy turkawce nieruchomy
Siedzi samek i nie grucha;
Dzięcioł zwisnął nad brzeg stromy,
Dzierży korę, patrzy, słucha.
A po całym owym lesie
Inne ptactwo posiadało.
Wszyscy smutni, a wieść niesie,
Że tu dawniej nie bywało.

Klaskaj, wołaj, aż lęk bierze!
Żaden ptak się nie poruszy,
Tylko orzeł strzępi pierze,
Reszta wszyscy jak bez duszy.
Naraz huknie strzał gdzieś w dali,
Oni o tem nic nie wiedzą;
Jodłę nieraz grom powali,
Oni milczą, oni siedzą...
Różne o tem chodzą słuchy,
O okropnym ich spokoju;
Mówią ludzie, że to duchy
Wojowników ległych w boju.

Mówią, że czas niezbyt dawny,
Kiedy ptactwo to zleciało:...

Orłem jakiś wódz jest sławny,
Do boju miał dziatwę śmiałą…
Lecz nie wszystkiej w boju użył,
Bo nie wierzył w boje stare…
I tak wiele lat przetużył,
Pokarany za niewiarę.

Sępy, kruki i sokoły —
To podwodzów jest drużyna.
Hetmanili z orłem społy,
Na nich cięży wielka wina:
Swarzyli się co dnia prawie,
Młodszą bracią pogardzali,
Zazdrościli wodza sławie,
Więc skarani tak zostali.

Lirniki zaś słowikami
Za to, że grzeszyli pieniem.
Bo pieśni ich były łzami
I rozpaczą i zwątpieniem:
Dziś natchnione mają oczy,
Lecz milczenie piersi tłoczy.

A zaś inne roje ptactwa,
I drapieżne i potulne,
To niesforne niższe bractwa,
A ich grzechy tamtym wspólne;

Taka o nich wieść u ludu...
Mówią, że czekają cudu.

Kiedy blask ostatni rzuci
Słońce z gór na świerki stare,
To się wówczas orzeł cuci,
Bije trzykroć w skrzydła szare
I podnosi głowę dumnie,
Jakby wołał: »Ptacy ku mnie!«

I zlatują z skał, z urwiska,
Z jodeł, świerków, sosen, klonów;
W koło orła tłum się ściska
Różnych głosów, skrzydeł, szponów,
I kolumna leci zbita,
Szum piór rośnie niesłychany,
On każdego wzrokiem wita,
Jakby z armją wódz obznany...
Ptactwo radzi; radne głosy
Jękiem wznoszą się w niebiosy.

Lecz nic z jęku, nic im z rady!
Wnet ucicha szum i wrzawa,
Rozlatują się gromady...
Nad przepaścią sokół stawa,
Szary orzeł zasępiony
Duma i zaciska szpony.

Wtedy nieba są różowe
Nad posępną gór krainą,
A obłoki purpurowe
Jakby łodzie krwawe płyną.

Słowik cudną pieśń poczyna,
Gdy wybłyśnie pierwsza gwiazda.
Cicho wtórzy mu drużyna...
W modłach toną wszystkie gniazda.

Wszyscy patrzą się w niebiosa
To z tęsknotą — to z rozpaczą,
I kroplami spada rosa...
Mówią, że to ptaki płaczą. —

Drugi słowik wita drugą,
Każdy swojej wznosi pienie.
Potem milkną, milczą długo...
Pieśń przemienia się w westchnienie,
Aż gdy niebo się gwiazdami
Olśni, znowu ustroń głucha
Słowiczemi gra pieśniami...
Ptactwo modli się i słucha,
Czasem w chórze jęczy z cicha...
Orzeł patrzy w gwiazdy... wzdycha...

Tak zastaje ich świtanie.
Lecz nim błyśnie dzień na ziemi,
Głuchnie śpiew i narzekanie,
Znowu siedzą smutni — niemi.

Ale mówią, że się zjawi
Dla tych ptaków lepsza zorza:
Że z zaklęcia ich wybawi
Burza straszna jak ryk morza.
Niebo błyśnie piorunami...
Po gromy się orzeł wzniesie,
Ptactwo za nim w ślad stadami,
I nie siędzie już w tym lesie.

1859

Pogrzeb wojownika

Szedł, gdzie orzeł prowadził go biały;
Z szablą w ręku szedł na pola chwały,
Za ojczyznę niósł tam krew i życie.
Ale Polsce rzekł Bóg: »czekaj jeszcze!«
Więc na gromów bożych głosy wieszcze,
Na pobudkę czekał i dział bicie.

A gdy przeczuł, że się dzień już zbliża,
W którym Polsce rzeknie Pan: »Wstań z krzyża!«
Anioł śmierci wziął mu z piersi ducha;
— Na ramiona trumnę jego młodzi!
Niech mu śni się, że nami przewodzi
Tam, gdzie kule świszczą i dym bucha.

Idźmy! wrogom w oczy patrzmy dumnie.
Precz ze żalem! bo on śniłby w trumnie,
Że nam trwoga nadzieję odjęła.
A gdy trumnę spuścim do mogiły,
Walecznemu na sen wiecznie miły
W górę głosy: »Polska nie zginęła!«

1860.

Śmierć Levitoux.

Był na cytadeli sąd na miatieżników,
Więc siedli jak czarci za stołem:
Jenerał, adjutant i czterech piszczyków
Ze sercem miedzianem i czołem.

I rzecze adjutant: »Bat'ku jenerale,
Czart chyba się z Lachów co dowie.
Wziął pałki Levitoux, lecz milczy zuchwale«
— »Sto pałek! pod pałką odpowie.«

Straż stawia Levitoux skutego w kajdany,
I biorą na rozpyt go kaci.
Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,
A sędzie wołają: »Zdradź braci!«

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej
Krzyż z panem Jezusem na ścianie.

Levitoux wzrok jasny utopił w krzyż pański,
I modlił: »Daj sił mi, o Panie!«

I poszedł pod pałki wpół nagi, bez lęku;
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały.
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku
I milczał jak zakamieniały.

A gdy go złożono na nędznej pościeli,
Rozważał, czy ciało wytrzyma
Te męki, bo znowu tak chłostać go mieli
Sędziowie... I poczuł: sił nie ma.

Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,
Bo stu by zginęło ich może.
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie —
I ognia nasypał pod łoże.

I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,
Gdy jasne płomienie wstawały.
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku
I milczał jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia płomienie ujrzeli,
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;

Jenerał i draby wpadają do celi:
    Levitoux już skonał w płomieniu.

Więc z zgrozą ten węgiel rzucili w rogoże
    I w ziemi kazali pochować.
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź, Boże,
    Bo żywym ją będziesz rachować!

1860.

Trzy sztandary.

Trzy w szczerem polu gromady stały
A trzy nad niemi sztandary wiały.

Więc ci, co z prawej na polu stali,
Sztandar niebieski w górze trzymali;
Po lewej stronie ogniste grono
Wzniosło chorągiew w górę czerwoną.
A między nimi, patrząc nieśmiało,
Stała gromada z chorągwią białą;
I jakby ducha nie miała w łonie,
Chwiała się ku tej i tamtej stronie,
A czasem jeszcze, nie wiedzieć czemu,
Dawała pokłon komuś trzeciemu...

I rzecze prawa lewej: »Wstecz!
Bo masz z dawniejszej stali miecz«

Lewa odrzecze: »Wyście próchno!
Oddechy wasze grobem cuchną«

Więc prawa znowu: Z drogi szał!
Nasz ród na przedzie zawsze stał«.

A lewa na to: »Z nami! z nami!
Bo was zostawim i pójdziem sami« —

»My nie rozstrzygniem« rzecze nieśmiało
Chwiejna gromada z chorągwią białą.
Więc się tymczasem trzeciemu kłoni,
Co się zwać kazał panem tej błoni.

I kiedy to się działo na ziemi,
Tkwił ptak ze skrzydły jak śnieg białemi
W chmurach, i czekał, która gromada
Ponad innemi górą zawłada.

A gdy doczekać tego nie może,
Zakracze smutnie: »Mocny mój Boże! —
Gdzieżby to oni zaszli już byli,
Gdyby z trzech — jeden sztandar zrobili.«

1860.

Gadka Kuby z Jurkiem, o wiośnie*).

Nad Kubową chatą szumi stara sosna;
Pyta Kuba Jurka: — Jaka będzie wiosna?

— Zielona, mój Kubo, jak zawsze bywała;
Co dumać o wiośnie, pokąd zima biała! —

— Jurku, słuchaj bracie, byli u mnie ludzie,
Mowili o wiośnie jak o jakim cudzie;
Mówili, że Bóg już zlitować się raczy,
I wszystko na świecie stanie się inaczej.

— Inaczej? ej Kubo, co się tobie baje?
Chyba świat by swoje odmienił zwyczaje.

— My naszych nie zmienim, Kuba na to rzecze:
Jeno będzie większa wolność, miły człecze!

*) Wiersz ten drukował poeta w ludowem piśmie »Dzwonek« 1861. podpisując się »Jaśko Żuczek«. (P. wyd.)

A jak nam kto zechce nadmuchać do kaszy,
To go wygonimy z polskiej ziemi naszej...

I szeptał coś jeszcze... Jurko ścisnął pięści:
— Ej Kubo kochanku, jeśli Bóg poszczęści,
To my wszystkim trutniom wygarbujem skórę,
Że im przyjdzie zmykać za dziesiątą górę.

Pożegnał się z Kubą, poszedł do komory
I myślał o wiośnie — i ostrzył topory.

1861

Co mówił Zrzęda*).

Mieszkał Zrzęda za borem;
Raz tak prawił wieczorem:
— Moi mili włodarze,
Nieraz sobie ja marzę:
Gdyby u was ochota
I chęć szczera i cnota,
Nie tak szłaby robota,

Bo rozważcie no przecie:
Jakto dzisiaj na świecie?
Ucisk, zdzierstwo, mitręga
Powyż głowy już sięga;
Co zarobisz, nie twoje;
Dzieląc w dwoje, we troje,
Biorą, niszczą człowieka,
Że grosz grosza nie czeka,
Jeno leci jak zwiany
I lgnie w obce gdzieś ściany.

*) Wiersz ten drukował poeta w ludowem pisemku »Dzwonek« 1861. pod pseudonimem »Jaśko Żuczek«. (P. wyd).

Ale Bóg wam daj zdrowie,
Dobrze wam tak, gazdowie!
Bo i z panem we dworze,
I z sąsiadem wy w sporze;
Zawsze wam się wydawa,
Że swój na was nastawa,
Że pokrzywdzi, podkupi.
Tak zwykł myśleć człek głupi,
I brnie w błoto i grzeszy,
A czart i wróg się cieszy.

Ej gazdowie, nie tędy!
Posłuchajcie-no Zrzędy:
Najpierw zgodź się z sąsiady,
Potem z braćmi z gromady,
Potem z panem, coć bratem
Tak przed Bogiem jak światem;
Potem wam się zgromadzić
I nad biedą poradzić,
Potem Bogu się skłonić
I precz licho nagonić.

Teraz Bóg wam daj zdrowie!
Idźcie w pole, gazdowie.
Idzie wiosna; pług w dłonie,
Krajcie skiby w zagonie,
Potem siejcie i włóczcie

A rozumu się uczcie.
Bóg wszechmocny nad nami!
Pójdziem kosić kosami,
Kosić trawę i licho.
Idźcie teraz spać cicho,
Moi mili gazdowie,
Bóg daj rozum i zdrowie.

1861.

Legenda.

»I po garści ziemi z ojczyzny zabrali«.
W. Pol.

Różną życia skołatani dolą,
Raz pątnicy wyszli z polskiej ziemi.
Jedni z bolem, którym serca bolą,
Drudzy chcieli przed progi świętemi
Złożyć starość, grzechy; inni blizny,
Inni ciężkie nieszczęścia ojczyzny.

Szli do Rzymu. Starzec przewodnikiem
Białowłosy, z kresami na czole.
Był rycerzem niegdyś, dziś pątnikiem,
Pomni przeszłość, w piersi zamknął bole:
Towarzyszów grono starca słucha,
Bo z ust jego płynie mądrość ducha.

Gdy im tęskno, patrzą, czy od wschodu
Ptak lecący wieści nie uczyni.
Tak zdążyli do wiecznego grodu,
Do wyniosłej Piotrowej świątyni

I padają krzyżem na marmury...
Lampa Piotra świeci na nich z góry.

A wtem słyszą: naród sobie sławi
Pustelnika, co w skale ma grotę.
»Bóg zeń — mówią — ludziom błogosławi,
Grzesznym przezeń dawa moc i cnotę;
Kogo mąż ten relikwią obdarzy,
Tego szatan tknąć się nie poważy«.

Zapytali przechodniów o drogę;
Drogę oną każde dziecko znało.
Jakieś dziewczę z ulicy ubogie
Drąbną ręką stronę im wskazało,
A ci rzekli: »Pójdźmy! niech mąż boży
Na strapione głowy dłoń nam złoży.

Idą — ścieżka w skale wykowana,
W skale grota po za bluszczów cieniem,
Wyżej groty z kamienia krzyż Pana
Tkwi ozłocon zachodu promieniem;
Przez powietrze lecą ptacy — wonie,
W dali wieczne morze słońcem płonie.

A mąż boży szedł ze dzbankiem wody,
Szedł ubogi jak pańscy prorocy.
Włos miał srebrny, zapadłe jagody,
W oczach blaski nieśmiertelnej mocy;

Świętych spokój płynął z jego czoła,
Gdzie skreśliła życie dłoń anioła.

Więc stanęli pątnicy z daleka,
Ran mu własnych wskazywać nie śmieją.
Z każdej piersi drobny ból ucieka,
Wielkim bolem narodu boleją:
Dla ojczyzny złotej pragną doli!...
On ze dzbankiem zbliżał się powoli.

»Zkąd wy, bracia« — spytał — »Z polskiej ziemi!«
— »Z polskiej ziemi ludzie? znam jej błonie.
Czegóż chcecie?« A starzec z białemi
Włosy rzecze: »Polska we łzach tonie!«
— »We łzach tonie? czegóż jej potrzeba?
Ci odrzekli razem: »Łaski nieba!«

»Ból przeżegnaj, co nam serca pali,
Skute nasze przeżegnaj ramiona.
Daj relikwję nam dla naszej stali,
Bo się kruszy w górę podniesiona.
My twym darem lud obdzielim cały,
My nim ojców dobijem się chwały«.

— »Macież z sobą garść rodzinnej ziemi?«
Mąż ich boży spytał zadumany.

Białowłosy rękami drżącemi
Wnet mu bryłkę podaje z sukmany:
»Z sobą — rzecze — wzięliśmy po bryle,
By w obczyznie mieć ją na mogile«.

Mąż tę bryłkę wziął i ścisnął w dłoni,
Ścisnął, — a krwi kropla na głaz ścieka;
Nad krwią słychać jęk — w powietrzu dzwoni
Skarga duchów lecących z daleka —
A pątnicy klękają dokoła,
I gdzie spadła krew, schylają czoła.

Więc mąż rzecze: »Czemuż was przestrasza
Ta krew ręką moją wyciśnięta?
Relikwiarzem cała ziemia wasza,
Krew relikwią, którą Bóg pamięta.
Idźcie z Bogiem! w miłującej dłoni
Ziemia wasza krew cudowną roni.

A pątnicy wstają, wielbią Pana,
Trzykroć: »Chwała!« rozsyłają w echa.
Błogosławią ziemi, co krwią zlana,
Błogosławią krwi, bo z niej pociecha
I wytrwałość... A ty sprawisz, Panie,
Narodowi z krwi tej zmartwychwstanie!

1861.

Dzieweczka.

(Z dni mordów warszawskich).

Kiedyż na te popioły i kości
Zmartwychwstania anioł z niebios zleci?
Polsko, święta kapłanko wolności,
Podająca pod nóż twoje dzieci,
Kiedyż lud twój sztandary rozwinie? —
Ach! ty żyjesz krwią, co z ciebie płynie!

Niech z krwi twojej świat umywa ręce
Jako Piłat z Chrystusa... Wstyd ludom!
Ile kroć ty jękniesz w krwawej męce,
Tyle kroć ty bliższa Bogu, cudom,
Co podnosząc ciebie świat przerażą...
Oto stoisz znów z skrwawioną twarzą!

Od Powązek lud powracał z krzyżem,
Kędy odniósł na spoczynek brata,
I grób darniem obłożył mu świeżem
Za spędzone na Sybirze lata;

Tam nań śniegi i zamiecie wiały,
Tu mieć będzie bluszcz i jaśmin biały.

Starcy pacierz szeptali, kobiety
Wiodły dzieci, a młodzież gorąca
Szła dumając: rychło »na bagnety«
Dadzą hasło... rychło trąba grzmiąca
W bój powoła? Tak szli ku kolumnie,
A z kolumny Zygmunt patrzył dumnie.

Tu stanęli, a dzieweczki trawę
Rwaną z grobów między lud rozdały
Na pamiątkę krwi, co już w murawę
Porastała. Aniołeczek biały —
Jedna klękła złożywszy rączęta,
I poczęła: »Zbaw nas, Matko święta!«

Oczętami, co gwiazdom podobne
Utonęła w niebiosa błękitne.
A lud, patrząc na to dziewczę drobne,
Kląkł, jak kłosy uklękają żytne,
Gdy zachodni wiatr przeciągnie łanem,
Tak lud ukląkł na rozmowę z Panem.

I rozpoczął pieśń, a Bóg jej słucha,
Carski wódz jej słucha przerażony.

Bóg ludowi łaską krzepi ducha,
A wódz zbrojne stawia bataljony:
»O! nim przebrzmi — rzekł — ta pieśń złowroga,
Nim Bóg miecz im da, uprzedzę Boga«.

I wnet rzeszę modlącą Moskale
Rotowemi powitali strzały.
Warczą kule, krew jakby korale
Z piersi na bruk rozlewa się biały:
Jedni giną cicho, drugim z łona
Płynie razem pieśń i krew czerwona.

Starców zapał unosi, spokojna
Młodzież śmierci upada w ramiona.
Patrz ty, carze, jak rzesza niezbrojna,
Jak w moc Boga wierzący lud kona!
Ludzie giną, a dzieweczka stoi
Cicha, w jasnej niewinności zbroi.

I na kule czeka, co jej braci
I siostrzyczki porywały w koło.
Wie, że Polsce Bóg jej krew zapłaci,
Więc chce zginąć; a wódz sroży czoło,
Woła gniewny: »Ten lud kul nie czuje —
Niech go jazda końmi roztratuje!«

Więc konnica na klęczących goni,
Rąbie starców głowy, kłuje dzieci.
A dzieweczka śród połysków broni
Stoi, lecz już żołdak na nią leci:
»Jezus-Marja!« krzyknęła i czeka,
Lecz się w konia patrzy, nie w człowieka.

I pewniejsza, że swemi oczyma
Rychlej czucia dopatrzy w zwierzęciu:
Ostrogami party koń się zżyma,
Skacze z jeźdźcem w bok, a szabla w cięciu
W głaz uderza;... z szabli skry czerwone
Nad dzieweczką zbiegły się w koronę.

*
* *

Tak, o Polsko! i od twego łona
Bóg odwróci rychło ostrza mieczy.
I ty, Polsko, staniesz podniesiona
Na szatanie, co cię dziś niweczy,
I ty głowę zetrzesz mu zdradziecką,
Ale czystą bądź jako to dziecko.

1861.

Kanonik Pstrokoński.

Zbrojno stanęli na Guzowskich błoniach,
Rokosz po jednej, król po drugiej stronie.
Już harcownicy skoczyli na koniach,
Już polska kopja w polskiej piersi tonie,
I szyszak pęka pod ciosem na skroniach;
Mnogo dział śmiercią ztąd i z owąd zionie —
Ach! brata wali każdy cios i działo —
Polsko! czyż innych wrogów ci nie stało?

Trudnoż ci było na sejmowej ławie
Domową kłótnię skończyć rozhoworem?
Na wschód widziałaś lecące żórawie
Z złowrogą pieśnią po nad carskim dworem.
Ale czart twojej pozazdrościł sławie,
Czart synów twoich serca natchnął sporem,
I popłynęła krew z twojego łona —
Brat brata mieczem ciął — Tyś powalona!

Cyt! teraz orzeł biały ci pokaże
Rycerską drogę cześci i zbawienia...

Oto złamane już królewskie straże,
Huf Radziwiłła zgrozę rozprzestrzenia;
Hurra! skrzydlaci pierzchają husarze,
Wyniosłe kopje tuląc do strzemienia;
Sztandar królewski, sztandar z orłem białym
Unoszą z pola przed hufcem zuchwałym.

Lecą, a na nich z zgrozą patrzy zdala
Prałat Pstrokoński, który godził strony.
Gniewem starcowi oko się zapala,
Na lica płomień uderza czerwony:
— Nie pierzchlić oni przed szablą Moskala,
Lecz orzeł, orzeł biały pohańbiony,
W ucieczce święty znak polskich rycerzy!
Dosiadł więc konia starzec i w czwał bieży.

Pędzi śród gradu kul, a na ramiona
Włos mu się biały pierścieniami toczy.
Zadziwia mężów jego twarz natchniona;
Ten, ów z goniących z drogi mu uskoczy:
Nie dba, czy zdrowo minie ich, czy skona,
Choć nigdy śmierci tak nie patrzył w oczy;
Jakaś nieziemska moc tym starcem włada —
Leci i prosto na chorągiew wpada.

I jako wicher, co żagle rwie z łodzi,
Z rąk ją przemocą wydziera zbladłemu:

»Bratanku — woła — polska krew cię rodzi,
Dajże ty inny lot ptakowi temu!
Na wrogów nieś go waść, jako się godzi.
Z pól nie uciekać orłowi białemu!
Nieś go tam, chłopcze, śmiało w imię boże —
Ten orzeł tylko naprzód lecieć może!«

I czyni młodzian, jako stryj mu każe:
Na Radziwiłła ze sztandarem goni.
Za orłem lecą skrzydlaci husarze
Z pochylonemi kopjami ku błoni.
Wpadli w szeregi jak śmierci żniwiarze;
Sto ciosów każdy niesie w mściwej dłoni,
I wypędzają rokosz z pola chwały —
Z chorągwi na nich patrzy orzeł biały.

Patrzy radośnie i wstrząsa skrzydłami,
Rzucając blaski na zwycięzców głowy...
I przeszumiały wieki nad polami,
Wieki pisane piorunem Jehowy...
Orle nasz! kiedyż zjawisz się nad nami?
Kiedy nas w ogień powiedziesz bojowy?
Wzleć — wzleć! my pomni hasła twojej chwały:
Że tylko naprzód leci orzeł biały.

1862.

Ojcowskie słowo.

»Będziesz miłował brata swego«.

Zgasły zorze, wieczorne niebiosa
Skry po fali rozsiały wiślanej.
Na murawie w perłach szkli się rosa,
Szmerem kłosów rozmawiają łany;
Ziemia, gwiazdy w słodkiej ciszy toną —
Tylko polskie nie wie o niej łono.

Rokosz, rokosz w Koronie, na Litwie!
Zebrzydowski, Radziwiłł przewodzą.
Senat radzi, król myśli o bitwie,
Starcy braci powaśnionych godzą,
Ale zgoda z dnia na dzień się wlecze —
Strzeż ich, Marjo! chwytają za miecze!

A Szwed w polskich granicach. — Lecz wieki
I dla wnuków bez przestróg minęły!
Nam, Najświętsza, Twej użycz opieki!
Nam daj łaskę, gdyż klęski nas zgięły,

I nieszczęścia dzień każdy nam trują —
Ach! nie wróg nas, lecz waśnie mordują.

Zgodą serca nam natchnij, a wstaniem
Jak lwy mocni i nieustraszeni! —
Lecz cyt! hasło wydano trąb graniem,
Obozowych blask strzela płomieni:
Król pod miastem a rokosz na błoniach
Noc spędzają; straż czuwa przy koniach.

A w obozie królewskim, od błoni,
Koniecpolski usiadł wojewoda.
Siwy starzec twarz oparł na dłoni,
Pancerz biała okryła mu broda,
I zadumał się smutno, że z braćmi
Walczyć musi, nim oczy śmierć zaćmi.

A to może już chwila ostatnia
Rycerskiego zawodu i chwały!
I do ręki mu przyschnie krew bratnia,
I do grobu ją weźmie dziad biały
I nie zmyje jej niczem. — »O Boże!
Niechże tu nas Twa łaska wspomoże.

»Szablo moja,« rękojeść tu ściskał
Dziad, dumając: »Przepada nam sława!

Moskwie, hordzie, wszak brzeszczot twój błyskał,
Krwią turecką bywałaś ty krwawa;
Jutro, szablo! — ha! król mi tak każe,
Jutro'ć we krwi Zebrzydowskich zmażę«

I potoczył oczyma po błoni,
Gdzie stał rokosz zebrany w gromadzie.
Myśl za myślą posępna w dal goni,
A na twarz się ponury mars kładzie.
Wtem do starca przystąpił syn zbrojny,
Pan Stanisław, młody, niespokojny.

Dziś raz pierwszy przyodział on zbroję
Wytęsknioną na szkolnej ławicy.
Klnie noc długą, jutrzejsze śni boje,
Śni o sławie, miecz ściska w prawicy;
Piękna postać, a oko mu strzela
To piorunem, to blaskiem wesela.

Dwoje skrzydeł sterczących u ramion
Same, zda się, uniosą go w pole...
Czyjeż barki dziś godne tych znamion?
Kto ma piersi dziś takie sokole?
Polsko-matko! o przemów do dzieci,
Niech to ptactwo powstanie i leci!...

Więc gdy starzec obaczył młodziana,
Rozpogodził oblicze surowe:
»Jeszcze gra mu rycerska nieznana,
A tak wrósł mi w odzienie stalowe.
Na pociechę Koronie tej rośnie« —
I uśmiechnął się starzec radośnie.

Lecz po chwili zesmutniał — i syna
Mierząc ostro, do siebie tak prawi:
»Dziś on zawód rycerski poczyna,
I na braciach-że rękę zaprawi?
Biadaż jego młodości i ręce,
Jeślić tak go rycerstwu poświęcę!

»Synu!« doń się odezwie żałośnie,
»Wolnyś jeszcze i służby nieświadom.
Na najezdców niech wasze mi rośnie;
Młodzież Polsce niech służy, nie zwadom!
Z braćmi walczyć ja ci nie pozwolę.
Wracaj — wracaj do gniazda, sokole!

»Ja pamiętny mej służby, królowi
Sam rokoszan nakłonię do prawa.
Jeszcze ręka nie krzepnie starcowi.
Choć Bóg widzi, jak boli ta sprawa!
Lepszy dzień cię wawrzynem osłoni; —
Nie zaprawisz na braciach ty dłoni«.

Rzekł i ręką ojcowską mu skinął.
Ucałował syn rękę ze łzami
I na zbroję wnet burkę nawinął,
Dosiadł konia i pomknął polami;
A dziad ukląkł i Boga pochwalił,
Że od bratniej krwi syna ocalił.

I wymodlił znać łaskę u Boga,
Bo syn dojrzał na chwałę Koronie.
Gromił Turka, Moskala bił wroga,
Za Szwedami rozpuszczał pogonie,
A nie przelał krwi bratniej ni razu
Hetman, pomny rodzica nakazu.

1862.

Dziaduś.

Kibitki stają przed dworem,
We dworze światła goreją;
Tam stary dziaduś wieczorem
Dziatwie i wnukom koleją
O bojach za Polskę prawi,
I przyszłość ich błogosławi.

»Służcie ojczyznie!« — tak woła —
»Zgubion, kto Polsce nie służy.
Ani przy śmierci anioła,
Ni ciszy serca śród burzy
Nie będzie dusza mieć taka,
Hańbiąca imię Polaka.

»Upadlim, ale powstaniem!
Nikczemni tylko znikają.
Pan bliski ze zmiłowaniem,
Gdy serca w dzielność wzrastają.
Służcież ojczyznie wytrwale« — —
Wtem we drzwiach stają Moskale.

Przelękła wnucząt gromada
Do dziadka ciśnie się drżąca;
Jak kłosie do nóg mu pada,
W oczy się patrzy milcząca;
Jęknąć słóweczko się boi.
Moskale stoją — dziad stoi.

»Miateżny!« — sprawnik wtem rzecze —
»Na ciebie Sybir jest w prawie.
Tyś krzyż postawił, człowiecze,
Za postrzelanych w Warszawie —
Ty kochasz plemię to wraże...
Car w Sybir odwieść cię każe.

I skinął, by mu okuli
Łańcuchem ręce i nogi.
Do dziadka dziatwa się tuli
Mimo żołdaków batogi:
»O dziadku!« — woła ze łzami,
»O! broń się! pozostań z nami!«

»Bóg z wami!« dziaduś odpowie —
»Ojczyznie służcie wytrwale!
Ja na Sybirskie pustkowie
Gdzieś kości moje powalę,
Lecz duch mój będzie nad wami
W niebiosach między gwiazdami«.

1862.

Rabin.

Siadł rabin w smutku, pyta ksiąg mądrości,
Jakiemi słowy cieszyć lud strapiony?
W łono mu co dnia jak w urnę żałości
Zlewają swoje łzy i krew miljony...
Ach! i nie budzi Pan mścicielów z kości,
Polsce cierniowej nie zmienia korony!...
Wstał i na miasto poglądając łzawo:
»O! Jeruzalem — jęknął — o! Warszawo!«

A wtem posłowie doń z niemieckiej ziemi
Wchodzą i głoszą bratnie pozdrowienie:
»»Rabinie! rzekną — tu Hiobowemi
Łzami ty płaczesz na krew i zniszczenie;
Tu wróg mieczami grozi ci ostremi,
Sławę zaciera i roztrąca mienie —
Pójdź do nas! porzuć synagogi krwawe —
My damy'ć mienie i spokój i sławę.««

Słucha ich rabin i rzecze: »Posłowie,
Na sądzie Pana przeniewiercom biada!
Jam się tu zrodził, tu służąc Jehowie
Zginę, gdy zginie braci mych gromada.« *)
»»Rabinie! — poseł niemiecki odpowie —
Nie miotaj darów, które'ć kraj nasz składa;
Zważ: Przyjaciółmi nam królowie świetni,
A przy tej Polsce kto stoi?««

»Szlachetni«.

1862.

---

*) Tak odpowiedział rabin Jastrów w Warszawie wysłańcom z Manhajmu.

V.

*

Posłannik.

Najdroższemu Mieczysławowi P.
na pamiątkę poświęca autor
1. Stycznia 1855.
Mieczysław R.

W dziecinnych latach widziałem człowieka:
Bladej był twarzy, ponure miał oko,
Z czoła patrzyła jakaś myśl daleka, —
Kiedy się śmiano — on westchnął głęboko.
Zdawał się zimny, jako posąg z głazu,
Bawił się z dziećmi — lubił piosnki smętne.
Znać musiał cierpieć; — lecz skargi wyrazu
Ani rozpaczy wykrzyki namiętne
Z ust zaciśniętych nigdy nie słyszano.
Cierpiał i milczał. — Zorjanem go zwano.

*
* *

Później słyszałem o nim jeszcze wiele;
A co pamiętam — to i wam udzielę.

*
* *

O nocnym mroku bieleją się groby;
Na czarnym głazie wyrazy złociste
Mają poświadczyć uczucie żałoby.

A w koło cisza, — niebo jasne — czyste,
Gwiazd miljonami lubo się uśmiecha,
I blady księżyc srebrne światło sieje;
W przybytku śmierci wszystkich uczuć echa
Usłyszy serce — tylko nie nadzieję!

Co to za postać blada i ponura
Tam nad mogiłą klęczy pochylona?
Źrenica straszna jak gromowa chmura,
Na pół skostniałą powieką oćmiona,
Połyśnie czasem takim ogniem żywym,
Że syn uciechy pomyślałby sobie:
— Patrzcie! ten człowiek czuje się szczęśliwym,
Bo tych, co żyli, pochował już w grobie! —
Jak widać w słabym odblasku księżyca,
Twarz jeszcze młoda, — ale na tej twarzy
Jakaś okropna milczy tajemnica.
Łono się czasem westchnieniem poskarży,
Które wiaterek zaniesie na groby.
Czasem przyciśnie do ust różę polną,
Lecz wnet ją rzuci z wyrazem żałoby,
Mówiąc: »Mnie róży już kochać nie wolno!...
»Kochałem jedną, — jeźli mnie kochała,
O! to już dawno uwiędnąć musiała...
Róży piosenek słowika potrzeba
I wonnej rosy i cichego nieba, —
A ja, miast nucić, milczałem ponuro:
Milczeć przysiągłem na najdroższe głowy.
O! tyś zagasła jak gwiazdka za chmurą —

Ja idę dalej ze świętemi słowy...
A czy mnie pojmą?...«

I uchylił głowy
Z wyrazem bolu ku cichej mogile; —
Kiedy nań padło światło księżycowe,
Posągiem z głazu zdał się być przez chwilę.

»Błogo ci, matko! błogo, ojcze stary!
Wyście spokojni — tu pod tą mogiłą!
Pełni nadziei, pełni prostej wiary,
W życiu — o życiu wam się tylko śniło.
Grom jeden straszny zgasił dusze obie:
Syn wasz tułaczem!... Depcę różę polną!
Inną znam matkę! — śpijcie — śpijcie w grobie!
Synowi o was pamiętać nie wolno!«
Kiedy młodzieniec z cmentarza odchodził,
Rozjaśnił lica, czoło wypogodził,
Ale z ócz jego przyćmionych powieką
Wyczytać można myśl wielką — daleką...
Było to w nocnej chwili przesilenia; —
On szedł do ludu ze słowem zbawienia.

*
* *

Kiedy jutrzenka zabłysnęła rano,
Tam na wysokiej skale go widziano...
Stał o kij wsparty, cichy, zadumany,
Patrząc na domu rodzinnego ściany,
Na rzeczkę — ogród — gdzie niejedną chwilę
Przeigrał dzieckiem, lub ścigał motyle.

Patrzył spokojny — ale któż odgadnie,
Jakie uczucie szarpało mu łono?
Wspomnienie czasem łezki z oczu kradnie,
Lub rozwesela głowę ubieloną
Srebrnemi włosy, — i myśli porywa
U ludzi zwykłych, kędy przeszłość głucha
Za lat ubiegłych szeregiem się skrywa; —
I czasem błyśnie niby widmo ducha
W nocnej godzinie na zwalonym grobie...
Lecz któż odgadnie, co on myślał sobie?...
Młodzieńcze blady — ja znam twoje myśli!
Kiedyś ty dumał, podsłuchałem czuciem
Głosu twej duszy!... Jakież widma kréśli
Myśl ma, twych marzeń owionięta snuciem!
Widzę przed sobą jakąś przestrzeń długą,
Owianą mgłami, uśpioną głęboko; —
W noc księżyc blady podniósł się nad smugą
Nieznanej drogi; — a tam, tam wysoko
Gwiazdeczka leci przez niebiosa drżąca.
Drogą samotnie idzie młodzian blady;
Gwiazdeczka smutna — jak harfa milcząca —
Omija w locie innych gwiazd gromady,
Śród własnych trupów nikomu nieznana...
A potem gaśnie jak myśl zapomniana.

Precz z czarną myślą — oh, to myśl piekielna!
Widziałem sercem, jako z twego czoła
Wzniosła się inna — wielka, nieśmiertelna —
I w świat leciała skrzydłami anioła,

Cicha — jak chmura, w której czarnem łonie
Grom długo milczy — aż w czynach zapłonie!

Z rzeczułki małej, co biegła ogrodem,
Mgła się podniosła, niby gaza biała
I lubym w koło powionęła chłodem —
I znikła w słońcu, jak z rzeczki powstała.
Cicho szemrały ogrodowe zdroje; —
A młodzian szepnął: »To — marzenia moje!«...

Zaszeleściała ogrodu altana...
Patrzcie — on zadrżał — jako dąb się chwieje,
Radości ogniem jego twarz oblana
I czarne oko jak gwiazda jaśnieje.
Z altany postać wyskoczyła w bieli,
Twarz się czarownym uśmiechem anieli;
Na skroni kwiaty. Stanęła u zdroju,
Zwilżyła różę, co kwitła w powoju.

A tam — młodzieniec przyklęka na skale,
Z ust lecą słowa mówione w zapale:
»O dzięki, luba! dzięki za tę chwilę!...
Gdy ja tułaczem, tyś miejsc tych aniołem:
Gdziem ja był dzieckiem, gdziem ścigał motyle,
Tam ty pamięcią żyjesz ze mną społem!
Ty marzysz *o mnie,* gdy widzisz te kwiaty,
Te stare dęby, świerk wiecznie zielony, —

W ręku twym róża rozwija szkarłaty, —
Myślą twą każdy kącik ożywiony...
A *ja* w twej myśli!... Pamiątek aniele,
Różo niewinna — i ty cierpisz wiele.
Cicha — jak myśli, śród kwiatów zawiei
Stoisz — jak pomnik na grobach nadziei!«

Już chciał odchodzić młodzian zachwycony —
Żegnał kochankę i rodzinne strony,
Gdy nagle — w szacie świecącej od blasku —
Wyszedł mężczyzna z brzozowego lasku.
Młodzian stał niemy — tylko dzikie oko
Zwrócił na postać mężczyzny wysoką,
Dzikiem szaleństwem oblały się skronie —
Kochanka jego na obcego łonie!

Zerwał się młodzian — pędził jak szalony
Z sztyletem w ręku tam, w ogrodu strony...
»Wróg mego ludu! a ona? — ha! ona
Przyciska węża do zdradnego łona! —
Zginą oboje! do tego uścisku
Przydam sztyletu śmiertelnego błysku
Z dziką rozkoszą!...
I pogonił dalej,
Gdzie pośród kwiatów wróg i ona stali...

Patrzcie — w pół drogi stanął zadumany.
Zamiast rozpaczy i zemsty piekielnej

Głęboki smutek po twarzy rozlany.
Z westchnieniem chowa swój sztylet śmiertelny.

Zwrócił się potem na drożynę polną
I rzekł ponuro: »Mnie się mścić nie wolno!...
Idę — ludowi nieść zbawienia słowa. —
Zdradna kochanko! gadzino! bądź zdrowa!
Na mym zagonie kwitnij, różo polna,
Kiedyś twą wonią gady poić zdolna,
Kiedy nie uschniesz w uścisku szatana,
Z licem anioła — w duszy pokalana!«

Poszedł młodzieniec na pola — dąbrowy —
Do swego ludu ze zbawienia słowy.
W okropnym bólu usta nieraz ścinał,
Kroczył ponuro — ale nie przeklinał.

*
* *

Wieczorne niebo — wietrzyk chmurki niesie —
Księżyc nad lasem; tam chata przy lesie.
Z chaty blask bije. U wrót pies na smyczy —
Wierny stróż domu na dziatwę skowyczy.
I jakąś mowę słychać w tylnej izbie;
A kilku starców usiadło na przyzbie,
Znać to celniejszych grono gospodarzy
Nad czemeś duma, potem cicho gwarzy.

Wtem we drzwiach chaty stanął młodzian blady,
A zanim jeszcze szło kilku z gromady:

Oni — spokojni, z pochyloną głową
Znać ważą w myśli usłyszane słowo
I czasem westchną — jak gdyby cierpieli,
A z twarzy widać, że słów nie pojęli.

»Do was przemówię, ojcowie gromady?...«
Zaczął znów mówić młodzian — smutny — blady —
»Do was, ojcowie, bo wyście świadomi,
Jako Bóg dziatwę wiarołomną gromi!...
A nasza matka — zgnębiona — shańbiona!
Gadzina toczy ostatki jej łona —
Wróg po was depce... oh, nie tak to było...
Wy pamiętacie! — Patrzcie: nad mogiłą
Gwiazda wieczorna rozjaśniła lice...
Ojcowie mili: wszak to *Racławice!*...
Pod tą mogiłą leżą ojce wasze,
Co to kosami kruszyli pałasze!
O weźcie kosy — im to będzie miło!
Oni lżej spoczną pod wolną mogiłą!...«

Gdy przestał mówić — starce podumali —
Płakały matki — młodzi go ściskali...
I co czuł sercem wtedy młodzian blady,
Słowo nie powie! —

Wtem jeden z gromady
Rzekł: »A toć prawda jako słowo boże!...
Lecz gdy my pójdziem — kto nam zagon zorze?

Kto nam zasieje?... Nasze żony — dziatwa —
Pomrą tu z głodu... A pójść — to rzecz łatwa!«

A młodzian na to: »Wszakże pójdą młodzi!«
— »I młodzież także w chatach nie zaszkodzi —
Rzekł znowu starzec — »a gdy chcecie, panie,
To kilku młodych z naszej wioski stanie!«

Młodzieniec w rękę wziął kostur pielgrzyma;
Gromadę smutno pożegnał oczyma, —
Starce go w imię Boga pożegnali,
On się zadumał, — smutny poszedł dalej.

*
* *

W szlacheckim dworku na starym kominie
Pali się lampa o nocnej godzinie,
Przez okno widać mgłą okryte pole —
W świetlicy mężczyzn dwóch siedzi przy stole.
Coś mówią — długo mówili coś z cicha;
Potem pan domu wydobył kielicha,
Napełnił winem, — otarł łzę z powieki:
»Zdrowie twe piję! — z takimi żyć wieki;
Bogdaj się tacy jak kłosy rodzili!
Kiedy cię słyszę, aż się dusza sili
I serce bije o te piersi harde...
O nie! nie pójdziem na hańbę, na wzgardę!
Oto masz rękę! ja — i moje syny!
I cały dom mój! i wszyscy z rodziny!...

Mam ja też chwatów i w mojej gawiedzi —
A za mną pójdą i bracia sąsiedzi!«

A młodzian blady wtedy myślał sobie:
»O matko moja! tyś jeszcze nie w grobie!...
Są czyste krople pośród mętnej fali!«
Potem w zadumie cichej poszedł dalej.

I było cicho za chwilę w świetlicy.
Lampa płonęła przy Bogarodzicy:
Tu matka w modłach klęczała z córkami.
A ojciec — cicho coś mówił z synami.

*
* *

Tam w pańskim dworze tysiące lamp płonie,
Słychać muzykę, płyną kadzidł wonie;
Wesołe gwary — śmiechy i zabawa;
Tańcują młodzi, — tnie muzyka żwawa.
A wtem do sali młodzian zadumany
Wszedł między gości, nikomu nieznany.
Spojrzał na taniec... patrzcie! taniec wiedzie
Wróg jego ziemi z kochanką na przedzie!

Młodzieniec pobladł — nie wyrzekł i słowa.
Na licu siadła jakaś myśl grobowa;
Spoglądał dziko na gawiedź swawolną
I myślał w duszy: »mnie już czuć nie wolno!...«

Poszedł do młodych, — oni go poznali:
»To Zorjan! witaj!... ty powracasz z dali?«
On im coś szepnął — w pół umilkła wrzawa,
Mniej już tańczyło. smutniała zabawa;
A młodzian blady błogosławił chwilę
I myślał: »Dobrze, że jest serc choć tyle!«

Lecz gospodarza dziwi ta odmiana.
Spojrzał po gościach... i poznał Zorjana.
Zaśmiał się lekko, gdy w nim smutek zoczył,
Potem do wroga co rychlej poskoczył,
Wziął go pod ramię i wyszedł ze sali... —
Młodzieniec westchnął, — smutny poszedł dalej...

I ścisnął w ręku swój kostur tułaczy,
I posłał w niebo wzrok pełen rozpaczy,
Potem szedł smutny na grody, na sioła
Z boleścią w sercu, ze słowem anioła.

*
* *

O! jeźli nie wiesz, co to rozpacz dzika,
Jeżeliś nigdy z światem się nie zmierzył,
Nie waż się patrzeć w oczy *Samotnika*,
Co całe życie bez nadziei przeżył;
Bo w tej źrenicy przyćmionej powieką
Jeźli odgadniesz myśl wielką, daleką,
Która go wiodła przez ludów cierpienie,
To zamrą w tobie lubych marzeń cienie,

Będziesz *straszydłem przyszłości* wśród świata —
Orłem, co myślą ponad braci wzlata,
I serce niegdyś do uciechy drżące
Stanie się nieme — dzikie — bolejące.
Sam jeden będziesz z twojemi myślami
Jakoby wulkan ściśnięty lodami.
A gdy nie pojmiesz blasku tej źrenicy,
Gdzie myśl spoczywa nakształt błyskawicy,
To go się zlękniesz jak *grobowej* mary, —
Myśl twa ucieknie do dziecinnej wiary,
Powiesz: »to upiór, co zmartwychwstał z trumny!...«
I jako listek zadrżysz bezrozumny!

. . . Oto noc głucha jak grobu milczenie.
Ustały szmery liści i gałązek,
Przez sieć lasową księżyca promienie
Lecą na ziemię nakształt srebrnych wstążek
I w kroplach rosy skrzą się tajemnicze,
Jako w źrenicy pałające myśli.
Po nad polami lecą mgły zwodnicze
I nocny ognik błędne widma kréśli,
Co ledwie migną nad starą mogiłą,
Znikają w dali, jakby ich nie było...

Kto jest ten człowiek z rozpaczą na twarzy?
Usta ściśnięte — jak u trupa sine,
Źrenica dziwnym odblaskiem się żarzy:
Gdy myślą sięgnie — tam — w duszy głębinę

I grzmiącym głosem przerwie nocną ciszę,
To drżą jak listki jego towarzysze...

Oto — słyszycie — słowo z ust mu płynie:
»Bracia tułacze! jesteśmy u celu!...
Rzucone ziarnko w sercu nie zaginie!...
Dzisiaj nas jeszcze pojęło niewielu —
Inni szydzili; ich klątwy bezumne
O nasze łona biły jak o trumnę...
Kiedyś i dla nich słońce zajaśnieje,
A to są nasze ostatnie nadzieje!...
Ha! wy myślicie doczekać tej chwili?!
Oh, idźcie konać tak, jakoście żyli,
Nieznane światu gwiazdy tajemnicze!
Kto śmierci piętno wcisnął na oblicze
I przeszedł taką pielgrzymkę mozolną —
Niechaj umiera!... Nam już *żyć* nie wolno!...«

I poszedł młodzian, — grono towarzyszy
Znikło jak echa pośród nocnej ciszy...
Każdy *do kresu* po swojej kolei
Z spokojną twarzą — ale bez nadziei!

*
*   *

Podniósł się orzeł nad Kaukazu szczyty,
Dumną źrenicą ugodził w błękity
I patrzył długo, jako na zachodzie
Jaskrawe słońce kryło się w pogodzie,

A po dolinach swobodnie pląsała
Uroczem pasmem nad ziemią mgła biała.
I było cicho; — tylko czasem zdala
Jękło coś głucho, lub plusnęła fala,
Gdy krzew zwieszony na skalistym brzegu
Porwała rączo i uniosła w biegu...
I znowu cicho.

Ale przed godziną
W morderczym boju stały dwa narody:
Jednym car kazał, — posłuchali — giną,
Drudzy ginęli w obronie swobody.
Latały gromy z przekleństwem rzucone —
A teraz — wszystko spokojne — uśpione.

Między trupami tam widać młodziana:
W piersi głęboka od kindżału rana;
Siedzi posępny oparty na dłoni, —
I czeka chwili, aż w zbolałej skroni
Po raz ostatni już tętno uderzy;
Przy nim ktoś klęczy w czerkieskiej odzieży.

Kto on? w rosyjskim mundurze ubrany...
To Zorjan w carskie sałdaty oddany! —
A któż ten Czerkies? Jeden z towarzyszy,
Do których mówił pośród nocnej ciszy.
I on to dzisiaj w tej walce rozpacznej
Kindżał w Zorjana piersi pchnął niebaczny,

A teraz klęcząc błagał przebaczenia.
Ten płakał, — Zorjan kończył swe cierpienia.

Patrzcie! z tornistru dobył jakiś zwitek...
I rzekł: »To serca najdroższy zabytek!«
Otwiera — cóż tam? Garść ojczystej ziemi
Całuje Zorjan usty spalonemi! — —
Potem spokojnie na zachód patrzali...
I Zorjan skonał. Czerkies poszedł dalej.

I było cicho, — zamarły gdzieś jęki,
Niby odgłosy przerwanej piosenki.
I czasem tylko rozburzone fale
Rwały gałązki owisłe na skale,
Albo rzucone o granity w biegu
W tysiącach kropli padały na brzegu.

1854.

---

*

Sałdat z Cudnowa.

I.

Był poranek, z bernardyńskiej wieży
Długo — długo smutne biły dzwony.
Lud pobożny do Cudnowa bieży
Z wsi, z futorów okolicznej strony.
A choć błonia ubrały się w dzwonki,
Choć nad ziemią śpiewają skowronki,
I rolniczy znój plonem dorasta,
Jakiś smutek powiewa od miasta,
Jakieś ciemne przeczucie złowieszcze...

Jękiem dzwonów echo grało jeszcze.

W mieście pełno ludu, jak w dzień święta,
Ale cisza jakby zasiał makiem.
Milczy boleść przemocą zaklęta:
Po ulicach kozak za kozakiem
Patrolują, snują się jak bisy
I nad ciżbą lśniące wznoszą spisy;
Wznoszą spisy, czarodziejskie berła,
Których lęka się głos — i łza perła.

A przed furtą klasztorną powózki
I feldjegry pod bronią gotowi.
Znać, coś klasztor wykroczył cudnowski,
Bernardyni znać dłużni carowi:
Pójdą w Sybir, w sałdaty! tak mniema
Lud i w duchu modli się za winnych,
Bo już innej rady dla nich niema,
Ni ratunku, ani też próśb innych.

Wtem otwarto podwoje kościoła,
I pochylił ku ziemi lud czoła.

Wchodzą tłumnie; — przed ołtarzem mnichy
Leżą krzyżem w podróżnej odzieży.
Długo łkanie i długo płacz cichy
Łamały się ze szmerem pacierzy.
Nad mnichami praporszczyk zuchwały
Stał jak szatan z pogardy wyrazem,
W ręku szablę miał i papier biały,
Papier straszny, zwan carskim ukazem.
I obwieścił, że car z swej dzierżawy
Precz wydala wszystkich zakonników,
Bo obrządek ich grzeszny, nieprawy,
A ich wiara, wiarą buntowszczyków;
Zaś ten kościół niechaj w gruz upada...
Nieposłusznym Sybir, knuty — biada!

Wstali; — czas im opuścić świątynię!
Ostatnia tu modlitwa skończona.

Niebiosami raz ostatni płynie
Jęk z wieżycy kościelnego dzwona.
Z płaczem ołtarz pożegnało bractwo,
Z płaczem groby; rusza na tułactwo.
Dzwon już zamilkł, jęk pod niebem kona,
Lud drży w strachu, a praporszczyk dziki
Woła gromko: »Won, won, buntowszczyki!«
Wyszli, a wtem jeden chłop z natłoku
Młody, rosły, o błękitnem oku,
Podniósł pięście; jak przez fale mnogie
Pływacz, przez lud przedarł sobie drogę
Aż do księży. Cisza była w koło,
On przed starszym kląkł, pochylił czoło:
»Błahosłowy, Bat'ku!« Mnicha rękę
Ucałował, a potem w podziękę
Oderwawszy od pasa kalitę,
Rzekł: »To, otcze, w darohu woźmite,
A molit sia za nas w Bohdaprosty;
Wy neszczasni, toż dla was w myłosty
Błyższej Boh!«

»Ha!« praporszczyk zawoła,
»Szto on skazał!« i wskoczył do koła,
»W dyby jeho! — wy czerci, won z mista,
Bo was wyrznę tak jakom gardysta!«

I porwali chłopa do powózki,
A w świat konwent rozbiegł się cudnowski.

II.

Wracał zdala, gdzieś od Archangelu
Po dniach wielu i po latach wielu.
Wyszarzany na nim płaszcz sałdacki,
Krzyż na wstążce, w ręku kij żebracki.
We twarz jego śniadą i wąsatą
Zmarszczkiem każde wpisało się lato,
A za blizny błyszczał krzyżyk owy;
Rzadko biały włos spływał mu z głowy.

Dzionek jasny, — taki był przed laty,
Przed ćwierć wiekiem, gdy poszedł w sałdaty,
Kiedy konwent wygnano cudnowski,
Gdy go w dybach wzięto do powózki
I wieziono kędyś w świat wiorst krocie...
On nie dumał wówczas o powrocie;
Jeno chata rodzinna i macierz
Śród łez w krótki mięszały się pacierz.

Biegłyż lata, a z latami służba
Ciężka, ostra jak sybirskie mrozy:
Kaukaz, bój, śmierć, obozowa drużba;
I na trąbkę zwijano obozy...
W pochód! w pochód do Moskwy, Uralu,
Do Tobolska! — i ruszał bez żalu;
I nad Bałtyk, do Wilna, Warszawy,
I na Kaukaz znów dla carskiej sławy;

Nigdy jeno do tych stron rodzinnych,
Gdzie rozkoszy zapamiętał innych;
I tak z życia dzień po dniowi strzępił,
Aż z bagnetem wraz i duszę stępił.

W bojach srogim był i bezmiłosnym;
Wonczas jeno, gdy ujrzał lecące
Zkądś kibitki, stawał się żałosnym,
I w swej piersi tłumił serce wrzące,
I łzy tłumił. — Tak raz na Uralu,
Raz w Tobolsku doznał tego żalu;
Raz mu jeńcy przypomnieli żywo
Śród rodzinnych stron dolę szczęśliwą:
Byli młodzi jak on, gdy go wzięto...
Same Lachy... w dyby ich zamknięto,
Tak jak jego niegdyś, — i w sałdaty
Tak jak jego gnał kozak brodaty.

Toż z jeńcami, kiedy stał na warcie
Przez noc — długo rozmawiał otwarcie.
Zkąd i zaco? pytał, i chleb dzielił
I strapionych gorzałką weselił,
Śmiał się, płakał; a gdy go zmieniano,
To ich z twarzą żegnał zadumaną,
Albo westchnął: »Mały swoi chaty,
Taj za nymy hdeś tam płacze maty.«

Gdy się bagnet stępi i ordzawi,
Niepotrzebnem już panu żelazem;

Kiedy w bojach sałdat życie strawi,
Wraca do dom za carskim ukazem.
Wraca wolny, — wolny, lecz bez siły,
Witać swoich, raczej ich mogiły.
Z chaty nikt doń z sercem nie wybiegnie,
Szczęśliw jeszcze, gdy śród swoich legnie.
Tak on wracał; lecz słońce dopieka,
A tam Cudnów widno już z daleka,
Stary Cudnów; a za tym Cudnowem
Dalej — dalej, na błoniu stepowem
Jego sioło: »W seli stara maty!
Może mene wyhladaje z chaty.«

Wszedł do miasta, serce mu się biło
Od radości, co się w duszy mnoży;
Patrzy: wszystko tak jak dawniej było,
Tylko w gruzach tam jeden dom boży.
Mur poczerniał, dach opadł, wieżyce
Stały smutne bez krzyżów nad gruzem;
Powalone przyboczne kaplice,
W drzwi i w okna wiatr przeciągał luzem,
Kilka brzózek wzniosło się z nad złomu...
I wszedł sałdat do bożego domu.
Z krzykiem ptactwo wzleciało z ołtarzy,
Nie widziało snadź tutaj człowieka.
Jemu łzami nabrzmiała powieka,
I łzy sznurkiem ściekły mu po twarzy;
Wsparł się o kij, ćwierć wieku odżyło:
Jasna młodość, z nią ten kościół razem...

I to wszystko jakby się przyśniło,
I w gruz poszło za carskim ukazem.

Do zwalonej zbliżył się kaplicy,
Zadumany tak w swojej żałości;
Tam go zgrozą przejęły z kostnicy
Deski trumien i rozsiane kości...
W bojach różnej przypatrzył się śmierci,
Widział ciała podarte na ćwierci;
Ale takiej zbutwiałej i nagiej,
Takiej kościom umarłych zniewagi,
Tyle trumien rozbitych pokotem,
Czaszek tyle pomięszanych z błotem —
Nie oglądał.

Dusza mu się wzdrygła,
Zda się, krew w nim na chwilę zastygła.
Lecz kląkł potem i modlił się długo,
Za umarłych spoczynek i chwałę,
A z wyłomu złotolitą smugą
Oblał promień jego włosy białe.
Kończąc pacierz... »Ne stało storoża,
Rzekł, — w świt czerci poszły sia błukaty,
I w hruż cerkwa rozpała sia boża,
A tych kostej nikomu schowaty;
Neszczasływych wydko Lachów kosty,
Szczo ne mał car nad nymy myłosty...
Ja schowaju was!

Nie wzbroniono pogrzebu dla prochów,
U świątyni lud zeszedł się tłumnie.
On sam z trumną spuścił się do lochów,
Proch i kości sam poskładał w trumnie,
I na barki wziął i niósł, a dalej
Z modlitwami lud śpieszył cichemi.
Do wieczora kurhan usypali,
I proch spoczął w poświęconej ziemi.
Potem sałdat w świat puścił się boży
Ukrainą — po wiejskiej czeladzi.
Nie troskał się, gdzie głowę położy:
Jemu w każdej chacie byli radzi.
Dziwne rzeczy bo ludziom powiadał
O Uralu, o Lachach, Sybirze;
Pośród młodzi czasami zasiadał,
Dziwne dumki śpiewał, grał na lirze,
Co go Lachy uczyli na czatach,
Co posłyszał wędrując światami,
To powiadał, to śpiewał po chatach,
A szaleli chłopcy za dumkami.

1858.

Savannah.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski poglądał na morze,
Złote się gwiazdy migotały w toniach,
I rubinowe kąpało się zorze;
Fala za falą wstawała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Koń jego trawę pasł nad morskim brzegiem
I strzemionami dzwonił idąc błonią:
Tak mu bywało, gdy stawał noclegiem
W Polsce; po siołach na pacierze dzwonią,
A z pól wracali do chat robotnicy
Na sen, pod skrzydła Maryi dziewicy.

We dworach ołów topiono w kominach,
Lub spisywano gwałtów protestacje;
Matki w ukryciu płakały po synach,
Co poszli ginąć za konfederację.

Na przyzbach dumy śpiewali Kozacy,
Po lipach na noc zasiadali ptacy.

Czy wy od Polski, fale? czy wam znany
Dniepr i zielone po nad Wisłą pola?...
Ósmy rok z dala od ziemi kochanej
Po obcych błoniach goni go niedola.
A jeśli spocznie jak żóraw na straży,
Za Polską wodzi oczyma — lub marzy.

Mógł on na Moskwę Częstochowę zwalić,
I paść jak Samson pod gruzem kościoła,
Lecz wolał Polsce Palladium ocalić;
Poszedł i czekał, aż go znów powoła...
I ofiarował Bogu dumną sławę,
Obcej wolności bronić wsiadł na nawę.

Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne.
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne
A w ręku szabla, grom na wrogów głowy,
Szabla z Najświętszą Panną z Częstochowy.

I pozostały mu dotąd z pól carskich
Ten sam wzrok orli, ten sam duch marsowy,

Z któremi spadał na służalców carskich,
Lub stał na murach świętej Częstochowy;
Blask mu na czoło bije od oręża,
A kędy oręż obróci — zwycięża.

I krwią przed Nowym opisał się Światem,
Jak stawia Polak za zgnębionych zdrowie!
Toż bohaterskim nazwali go bratem
Amerykańskich pokoleń wodzowie.
Na dumę świata szlachetną miał duszę,
A pod laurami krył serca katusze.

Ty jedna, święta Rodzicielko boża,
Znałaś to serce wielkie — skołatane!
Tobie on tylko, jasna Gwiazdo morza,
Każdą śmiertelną pokazywał ranę.
Skrzydłem Ty orlem byłaś jemu w bitwie,
A prowadziłaś przed Boga w modlitwie.

O! ucisz, Panno, to serce spokojem,
Miłości jego daj rzeźwiącą wiarę! —
Na morskim brzegu usnął wódz przed bojem,
Po niebie cicho szły obłoki szare,
Duch jego smętny odmawiał różaniec,
Gwiazdy szły gasnąć na zachodni kraniec...

Już świt. — Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia;
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: »Na Savannah!«

Niegdyś mu grzmiała pieśń konfederacka,
Orły mu sire wskazywały drogi,
Kiedy na wrogów rankiem szedł z nienacka,
Wpadał na działa i siekł co do nogi.
Takiej tu pieśni nikt mu nie zanuci;
Orły czekają w Polsce — czy nie wróci?

Smutny więc jechał, i do towarzysza
Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu: *)
»Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,
I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu;
Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły! —
Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły«.

»Na naszych błoniach mijały mię groty;
Nie było dane dłoni mej kraj zbawić!...
Inny się zjawi jakiś anioł złoty
W rycerskiej piersi, by ten ród naprawić.

*) Przed bitwą pod Savannah miał Pułaski przeczucie śmierci; zgubienie szkaplerza wziął jako zły omen

Nieszczęście wielkie — wielkich dusz kołyską;
Kto wie — ten anioł może jest już blisko.«

»Bez sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!«
Rzekł, a Savannah już mu widne z dali;
Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,
Kędy Anglicy szeregami stali,
I usypane reduty ze szańców
Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem
Wrzała już bitwa zacięta wśród łanów.
Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem
Z bagnetem w ręku na Amerykanów;
Wnet jedna chwila los bitwy przeważy...
A jemu zapał zajaśniał na twarzy.

»Naprzód! **) i w dwieście poskoczyli koni,
Za bohaterem lecieli na działa;
Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni;
Szable migały w słońcu, ziemia drżała,
I przełamali Anglików dwa fronty,
A wtem błysnęły na okopach lonty.

**) Pierwszem angielskiem słowem, którego się nauczył Pułaski jadąc do Ameryki, było: F o r v a r d, naprzód.

Zagrzmiało... »Jezus — Marya!« wódz krzyknął
I padł; — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę;
W koło płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Savannah
I krzyż na grobie zatknęli brzozowy;
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna,
Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy!
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty pośród wiernych ludzi!

1859.

Farys — nie Arab.

Przeklął swój żywot na rodzinnej ziemi,
Bo mu ojczyznę carskie gniotło ramię.
Z rozpaczą bił się nocami całemi
A szpieg jak szatan pilnował go w bramie.
W zamku praojców zbrzydła mu ściel stara;
W stepie wiatr stepu, wierny służka cara,
Co sennym szpiegom w ucho szeptał z cicha:
»Rabiata! baczność, wełykoj Lach wzdycha«.

Gorąca dusza kipiała w nim z młodu,
A jednak bratniej unikał źrenicy,
Bo na imieniu miał klątwę narodu,
Klątwę za zdrady ojców w Targowicy.
I klął podłodze, że w głąb nie zapadła
Wonczas, gdy matka w kolebkę go kładła;
Chmury przeklinał ciągnące bez gromu
Nad smętnym dachem przeklętego domu.

A Dniepr pod zamkiem przygrywał mu smutnie
W brzegi ubrane we wierzby i trzciny;

Po ścianach komnat błyszczały na płótnie
Przesławne dzieje Polski i rodziny;
Dwa wierne duchy w sypialnej świetlicy:
Sokół na szabli, orzeł na przyłbicy,
Siedziały smętne i strzępiły pióra, —
Nad łożem czarny krzyż i armatura.

W framudze obraz Częstochowskiej Panny,
Klęcznik i lampa pod zasłoną szklącą.
Nieraz tam zastał Farysa świt ranny
Po przemodlonej nocy w łzach gorąco;
Bo się tej Pannie korzył Farys dzielny,
Kiedy mu serce krajał ból śmiertelny;
Bo tam, w ostatnie zapatrzony dzieje,
Woła: »Weź życie, Matko! — daj nadzieję!«

A gdy nań zarżał białonóżka wrony,
Dwaj mu siadali na ramionach ptacy,
I pędził, Farys koniem w step zielony,
Pędził by odżyć — za nim w czwał kozacy,
I tak lecieli nie bacząc gdzie? — po co?
I nie wracali na zamek aż nocą:
Koniom na grzywy opuszczali wodze,
Farys mogiłom kłaniał się po drodze.

Nieraz, gdy w ciszy step — gdy woni kwiecie,
Zagrzmią kozacy pieśnią w niebogłosy:

*

»Rewucho bat'ku! sławne Lachów dziecię,
Spisy każ nabić — hej! każ ostrzyć kosy,
Ta polecimy gradem na Moskali!
Hej, polecimy«... Farys leci dalej,
Dziki, radosnym uniesiony szałem,
I chłonie w siebie zemstę sercem całem.

I radby wszystkie zapalić nią łona,
I wszystkie serca ogarnąć jej tchnieniem,
Aż się doń z niebios słońca twarz czerwona
Krwawym w zachodzie uśmiecha promieniem.
Step już poszarzał zmrokiem, gwiazdy świecą,
A Farys leci i kozacy lecą
Owiani kurzem, osrebrzeni pianą;
Dusze z nich w niebo ulecą, nim staną.

I gdzieś daleko, śród nocy miesięcznej,
Legną u mogił z zadumą na licach,
A Farys marzy o jeździe tysięcznej,
O Barze, bitwach — hej! o Racławicach...
I wskoczy na koń i klnie się na stali,
Klnie się, że cara w Kremlinie podpali.
Leci — na świadki woła ojców duchy...
Na Sybir ciągną kibitki... step głuchy.

Zwoszczyki potem nieśli wieść carowi,
Że jeńców Lachów w noc odbili chłopi,

I chyba djabeł na stepie ich złowi,
Bo śladów żaden feldjegier nie stropi.
Trząsł się car z gniewu i słał śledcze psiarnie,
Gdzie buntowszczyki uszli mu bezkarnie,
A Farys śmiał się i kazał miód stary
Wytoczyć z piwnic dla kozaczej wiary.

Święto; więc Farys czasem noc przesiedzi
Przy roztruchanach i kozaczych dumach,
Gdy się doń zjadą na zamek sąsiedzi,
Co im Rewucha brat w swatach i w kumach.
I rada szlachta serdecznej gościnie:
Płyną rozmowy, złote wino płynie
W cześć Farysowi i w cześć bożym darom,
Aż Farys jęknie: »Hej! my służym carom!

I nie położyć nam się w groby z sławą,
Ni naszym dzieciom dalej ponieść miano…
Prawda, los nami gospodarzył krwawo,
Lecz my — my przed nim ugięli kolano!
Ha! nie tak Grecy — ha! nie tak Rzym stary,
Ha! pijmy, szlachta! — u nas? — u nas cary!..
»Wo smert' im!« zagrzmi kozacza drużyna
I dalej krążą roztruchany wina.

Toż długo potem gość nie zakołata,
Bo farysowe przypomnienie boli. —

Tak Rzewuskiemu przepływały lata,
Lata rozpaczy — nadziei — niedoli.
Kozactwo w lochach zamkowych, przy śpiewce,
Wbijało spisy ostrzone na drzewce,
A Farys czeka — doczekać nie może
I wzdycha ciężko po nocach: »O! Boże!«

I raz, gdy w duszy stało mu się czarniej,
Zleciał doń z hełmu orzeł szaropióry
I spowiadał go oczyma z męczarni,
A wzrok miał taki jak Farys ponury.
Krótko radzili, koń czekał gotowy:
»Rodzinny zamku — ha! bywaj mi zdrowy!
Hej do mnie, ptacy!« i wypuścił konia
I pędem leciał przez stepowe błonia.

Przed nim leciały orzeł ze sokołem
Gdzieś na południe, ku Czarnemu morzu,
A potem sokół obleciał go kołem
I zasępiony usiadł na rozdrożu:
»Ha! leć tam, koniu, gdzie orzeł prowadzi,
Niech sokół doma z kozakami radzi...«
I pędził dalej, aż mu nocna zorza
Zeszła czerwono nad falami morza.

Ptak siadł na maszcie, pana wołał wzrokiem
I bił skrzydłami, by szedł w jego ślady;

Morzem więc Farys popłynął szerokiem
Na cudne brzegi posępnej Hellady,
I ptak go wodził po ruinach dawnych,
Po mogilnikach i po grobach sławnych;
Z pokutnikami potem i z pielgrzymy
Do grobu Pana wiodł go, do Solimy.

Bo tam, gdzie skonał na krzyżu Pan chwały,
Chciał się wypłakać z żywota podróży,
I spytać się tej granitowej skały,
Czy jest tu przystań dla ducha śród burzy?
I czy łza tylko pociechą jedyną
Tym, którzy walczą za świętość i giną? —
Tam spytać, jakich ofiar, jakiej siły
Trzeba, by wrócić naród od mogiły.

A kiedy Farys krzyżem padł u grobu,
Orzeł się nad nim rozkrzyżował w górze,
I były krzyże dwa posępne z obu:
Tu w prochu jeden, drugi na lazurze.
Tak ich ojczyzna krzyżem w prochu leży,
A duch jej w niebo dwojgiem skrzydeł bieży,
I wraca ztamtąd na naród natchnieniem,
I kiedyś stanie się ciałem, zbawieniem.

Teraz, gdy duch już poznał grobu ciszę,
Prowadź Farysa, orle! na pustynie,

Kędy huragan na piaskach kołysze
Żywotów — śmierci — sto w jednej godzinie:
Tam wydmuchane z pod kurhanów kości
Straszną powieścią powitają gości...
W dnie step umarły zgrozą was otoczy,
A w noc miljony gwiazd zajrzą wam w oczy.

Trzy dni lecieli, trzykroć spoczął kary,
Trzykroć siadł orzeł jeźdźcowi na ramię.
Już poza nimi smętne pól obszary,
Kędy wiatr palmy na oazach łamie.
Gwiazdy na niebie były już wysoko,
I odetchnęli pielgrzymi szeroko,
A śmierć i wicher i słoneczne strzały
Zeszły z pustyni kędyś i skonały.

A Beduini pytali w zadumie:
Co to za jeździec, co go orzeł wiedzie?
Czy on pustynię zaczarować umie?
Czy od Allaha z rozkazami jedzie? —
I pełni cześci, zdumienia i trwogi,
Ustępowali Farysowi z drogi
I rozsypali wieści po pustyni,
Że jakiś jeździec z Boga cuda czyni.

O! dzieci stepu, przybliżcie się śmiało!
Tu cudem tylko te piersi niezbrojne

I serce, które w zaciszu pękało
A na pustyni stało się spokojne;
Zwiędłoby może przy domowych różach,
To śniąc, to marząc o żywota burzach:
Tu się podniosło, tu zmierzyło siebie,
Gdzie nic prócz wichrów i Boga na niebie. —

Od pokolenia, pasącego trzody,
Wyprosił sobie na nocleg gościny;
Arab mu podał daktyli i wody,
I siadł i tęsknił do swéj Ukrainy,
I wnet mu jasny sen zatulił oczy,
Sen o ojczyznie, o Marji, proroczy.
Orzeł mu cichy na ramieniu siedział
I śnił — i o śnie farysowym wiedział.

Obu się zjawił orzeł białopióry
Wzwyż ponad ziemią, ciepłą krwią zalaną;
W potop trzykrotny grom uderzył z góry —
I stanął naród ponad krwią wezbraną. . .
Znikł anioł szczęścia, spłynęły łez zdroje . . .
Lecz grom już błyska na ostatnie boje...
Resztę wie orzeł: on bratnie gromady
Powiedzie na żer we zwycięzców ślady.

A gdy ich ranna ocuciła zorza,
Upadł Rzewuski na ziemię obliczem:

»O! sława Tobie, Rodzicielko boża!
O! czuję Ciebie w śnieniu tajemniczem...
Ojczyzna moja... Orle, ruszaj przodem!
Ha! cicho, serce, cicho — Bóg z narodem! —
Koniu! nawracaj, a wy Beduini,
Nie zapomnijcie Farysa w pustyni«.

1859.

Ksiądz Gwardjan Kobylański.

I.

W krzemienieckim klasztorze zamilkły organy,
Po ołtarzach gasili światło zakrystjany,
Kilku jeszcze braciszków modliło się w bieli,
Ksiądz gwardjan Kobylański wracał już do celi.
Sam dzisiaj mimo trudu nad lata sędziwe
Odprawiał *matutinum*, chóry i wotywę;
Choć mu już siódmy krzyżyk mijał w lat ordynku,
Skąpił swej siwej głowie snu i odpoczynku,
I o jutrzence kazał dzwonić na brewjarze.
A kiedy się ojcowie zeszli w korytarze,
Zastali tam staruszka z pochyloną głową,
Klęczącego pokornie przed stacją krzyżową,
Kędy płakała Syna święta Rodzicielka.
Zadziwiła zebranych ta pobożność wielka,
A ojciec kaznodzieja, spowiednik gwardjana,
Rzekł doń: *Reverendissime*, na miłość Pana,
Miejcie więcej baczności na wasz wiek i siły!
Wszak taki hazard zdrowia i Bogu niemiły.

Lecz starzec, zda się, nie miał dla napomnień ucha;
Ku męce swego Pana wzniósł modlitwę ducha,
Twarz mu olśniła świętość; więc umilkły mnichy,
I klękły i poczęły szeptać pacierz cichy.

II.

Znany był w okolicy gwardjan z pobożności,
Lecz od kilku tygodni starzec ostrzej pości,
Modli się dłużej, nawet unika wygody.
Często nic nie spożyje prócz chleba i wody,
I z tem wraca do celi, czyta, albo pisze,
Zatopiony, jak mówią, w świętych natchnień ciszę.
Czasem wyjdzie i braci słodko upomina,
Że czas groźny, że próby nadeszła godzina.
Więc, zważając to, księża powiadali sobie:
— Ponoś nasz ojciec gwardjan jedną stopą w grobie,
I radby tę żywota wędrówkę przydługą
Skończyć tak, jak rozpoczął: Boga wiernym sługą. —
Lecz to dzisiejsze wstanie, te modlitwy korne
Wzruszyły domysłami zacisze klasztorne;
I w refektarzu cichą lecz żywą rozmową
Ważą ojce gwardjana każdy czyn i słowo. —
Darmo! starzec nie powie, co zamyślił tajnie;
To wiedzą, że był wczoraj wesół nadzwyczajnie.

III.

A do celi gwardjana wszedł pierwszy cechowy,
Rzeźnik Rudnicki, strojny w kapocie perłowej
I z czapką na zawiasach. Widać było z miny,
Że wszedł zwiastunem jakiejś wesołej nowiny:

Wzrok mu błyszczał, a w twarzy był jak rydz czerwony,
Kiedy witał: »Niech będzie Chrystus pochwalony!«
I ledwie gwardjan spytał: »A jakaż nowina?«
Zawołał pan cechowy: »Syna Bóg dał — syna!
Dziecko mi wczoraj moja powiła Sabinka;
Czerstwo chłopak wygląda, czerwony jak szynka.
I w sam czas mię Pan świata nawiedził tym darem,
Tam Korona w zapasy poszła z Moskwy carem,
Zwycięża i zwycięży; taka we mnie wiara!
A gdy mi syn dorośnie, zapomnim już cara.«
I radość mu łez zdroje wycisnęła z oczu,
W których świeciła dusza jasna, jak w przezroczu
Wieczornem świeci promień gwiazdy brylantowy.
Ale wnet łzy rękawem otarł pan cechowy
I rzekł: »Jeśli mam łaskę u Waszej Miłości,
Tobym na chrzest chłopaka prosił Jegomości.
Sąsiadów będzie kilku; — niechże Ojciec raczy
Poczcić próg mego domu, a śmiałość wybaczy.«

IV.

Słuchał mowy cechmistrza starzec uśmiechnięty.
Lecz w tej chwili innemi myślami przejęty
Milczał i oczy utkwił w Rudnickiego lice,
Jakby mu chciał przeniknąć serca tajemnicę
I przejrzeć kryształ duszy, co czysta i szczera
Płonie radością w oczach i z twarzy wyziera.
Potem wstał, i gdy cechmistrz ścisnął mu kolano,
Dłoń mu podał i spytał: »Jakież syna miano?«
»Józef«, rzekł mu Rudnicki. Staruszek odpowie:

»Piękne imię, tak nasi chrzcili się wodzowie,
Dzielni — bitni — o! znałem ja księcia Józefa...
To jest imię naszego Dwernickiego szefa,
Który się jak kometa zjawił niespodzianie
I cudami uświetnił to nasze powstanie,
Niszcząc moskiewskiej armji lewe skrzydło całe.
Naprzód, dzieci! i furczą chorągiewki białe...
Tak zwyciężył pod Stoczkiem, Ryczywołem, Nową;
Gejzmar ledwie na koniu umknął z całą głową,
A i Krajtz Dybiczowi smutne zdał raporta,
Tyle mu krwi wyssała ta polska kohorta.
Każda piędź ziemi krwią już obmyta w Koronie,
My tylko wierni stoim przy moskiewskim tronie!«

V.

»Księże gwardjanie! cechmistrz odpowiedział żywo,
Jeśli Korona wcześniej rozpoczęła żniwo,
To nie racja, by przeto my z pięścią za pasem
Czekać mieli, aż nam się coś upiecze z czasem.
Bóg widzi, jak nam ciężko sprawę tak odwlekać! —
Rwie się młodzież i czeladź, — z góry każą czekać! —
Rzeczcież wy co...« Lecz gwardjan tu mu przerwał
[mowę,
I położył rąk dwoje na cechmistrza głowę.
Potem dłoń mu do piersi przyłożył i rzecze:
»O! czuć, że ty ojczyznę miłujesz, człowiecze!
Toż siądź tu, — powiem tobie, co mię doszło wczora,
Siądź, cechmistrzu kochany! O! blizka już pora...
Nim się zmrożona trawa z pod śniegu rozwinie,

Dwernickiego z wojskami obaczy Wołynie!«
Na to Rudnicki, jakby piorun weń uderzył,
Powstał, otworzył usta, powieki rozszerzył,
Bladł, czerwieniał i w starca utkwił wzrok ognisty;
A ksiądz gwardjan wypruwał z pod habitu listy
I zamknął drzwi na klamkę i rzekł: »Czytaj Wasze!...
Dwernicki! nasze wojsko! białe orły nasze...
I na Litwie się biją — pewne mamy wieści —
Tak! kończą się już, bracie, dnie naszej boleści,
I znowu w obec świata narodem się staniem,
Jak niegdyś przed dzielnego Kościuszki powstaniem,
Pod którym ja służyłem.« — »Wy? — cechmistrz
[zawoła, —
Pod Kościuszką! z którego kraj dziś ma anioła
Tam w niebiesiech u Pana? Mnie było lat cztery,
Mój ojciec poległ wtedy między kosynjery,
Matka mię potem dała do mego rzemiosła
I umarła, — a dola aż tu mię zaniosła«.
»Służyłem, rzecze starzec — o! pamięć ta boli:
Naczelnik z najlepszymi poszedł do niewoli,
Moja Polska rozdarta w troje od siepaczy,
To już mi nie zostało nic w mojej rozpaczy,
Prócz Boga klęczącego przed bolu kielichem,
I jego męka i śmierć... i zostałem mnichem!«

VI.

»Ojcze gwardjanie!... cechmistrz ozwał się po chwili,
Możebyśmy chrzest mego syna przyśpieszyli,
Choćby i zaraz, bo mnie od waszej powieści
Tyle się ważnych rzeczy tu w mem sercu mieści —

A czas już mi tak krótki, a robić by tyle —
Że do jutra już wszystkie policzyłem chwile,
I ledwie mam godzinę dla syna i siebie.
Zróbcież mu, ojcze, miejsce tym chrztem świętym
[w niebie!«
Wziął czapkę i kornie się gwardjanowi skłonił,
Zwrócił się; ale starzec przy drzwiach go dogonił
I rzekł: »Ostrożnie, majstrze!« Potem dłoń mu ścisnął
Szeptał coś i na szyi uściskiem zawisnął
Z łzami w oczach; a kiedy cechmistrz był za progiem,
Zawołał we drzwiach starzec: »Z Bogiem, bracie,
[z Bogiem!«

VII.

Zaświtało. Na mieście gwar i tłumy z ludu.
Piorunem przeleciała — wieść nowego cudu:
»Powstał Rudnicki! czeladź! szkolna młódź powstała! —
Załoga się ucieczką śpiesznie ratowała
Na górę, tam na Bony zamczysko skaliste.
Lecz Pan Rudnicki w mroki otulony mgliste
Podszedł ich tam i pobił.« — Taki rozgłos wszędzie;
Lud się cieszy i czeka, jako dalej będzie.
Ale wtem na wieżycach ozwały się dzwony;
Patrzą: — kościół jaśnieje gęsto oświecony,
Otwarte drzwi, — przed drzwiami zbrojne w kosy,
[w pałki,
Stoją cechmistrz Rudnicki i w szeregach śmiałki
I wchodzą do kościoła: — »Za nimi! Za nimi!
Sława Bogu! — sława im! — Sława naszej ziemi!« —

VIII.

:wardjan śpiewał wotywę; organ w niebogłosy
:rzmiał a powstańcy stali oparci o kosy:
zkolna młodzież i czeladź. Każda twarz wesoła,
czy błyszczące ogniem i pogodne czoła.
'a ich oblicze jasne i szczęściem promienne
.ubinem z okien padły pierwsze zorze dzienne.
ud klęczał... O! kto takich szczęśliwych obaczy,
hoćby mu pierś pękała — zapomni rozpaczy!
. Rudnicki padł krzyżem. Po tej nocnej bitwie
'korzył się zwycięzca przed Bogiem w modlitwie:
zęsto słychać, jak z piersi gorące westchnienie
ciele się na posadzki kościelnej kamienie.
yleż bo mu w tej piersi płonęło i płonie!
am jego syn w kolebce przy stroskanej żonie,
. nad nimi dłoń mściwa okrutnego wroga
knutami i z Sybirem... i westchnął do Boga!
o mu znowu bój przyszły przed oczyma stawa:
Z nami trzyma Wołynie!« zawoła Warszawa,
. on stanie przed wodzem, wrogów krwią zbroczony,
powie: »My z Krzemieńca, od zamczyska Bony!
lizny niechaj powiedzą, czy widzielim wroga!...«
aby się tak stało, znów westchnął do Boga.
.le i to wie cechmistrz, że kule nie głaszczą
. śmierć stoi na polach z otworzoną paszczą,
nie pyta, czy schizma, czy kto prawej wiary,
:no i ztąd i z owąd porywa ofiary;
Więc może i on w boju padnie w obec wroga —
niechaj tem Bóg rządzi, modlił się do Boga.

IX.

W oknach się ukazała płomienna twarz słońca,
Starzec już był wotywę odśpiewał do końca,
Więc pan cechmistrz wstał z ziemi i rzekł: »Komu
[droga,
Temu czas! Błogosławcież, ojcze, w imię Boga
Mojej rzeszy!« Lecz gwardjan wziął pacholąt dwoje,
Kazał otworzyć groby i rzekł: »Dzieci moje!
Nim pójdziecie na walki, zestąpcie w te lochy.
Tam na kamieniach leżą święte ojców prochy;
Znali ich Szwed, Moskwa, Tatar, znali Bisurmanie;
Z niebios się oni patrzą na wasze powstanie,
Tam was pobłogosławię: — trupy się poruszą
I obleją was swoją bohaterską duszą.«
Odsunięto więc płytę z pośrodka kościoła,
Gwardjan stanął u wejścia: »Dzieci za mną!« woła.
Schodzi w groby a za nim Rudnicki i zbrojni;
Idą poważni, ciszą tych grobów spokojni.
W głębi dwoje pacholąt stało pośród cienia
Z pochodniami, jak duchy z mieczami z płomienia,
Których Bóg z niebios zesłał między te kolumny
Strzedz ojców twarde łoża na kamieniach trumny.

X.

Daleko szły sklepienia, gwardjan wiedzie dalej
W loch pod ołtarzem, kędy księża się chowali.
Stanął tam u grobowców i, gdy rzesza czeka,
Zawołał do zebranych: »Podnieście te wieka!«
A gdy młódź się rzuciła i podniosła płyty,

Zabłysnął od pochodni grobów skarb ukryty —
Jasna broń! — I staruszek dobył damascenki
I rzekł: »Panie Rudnicki, ta dla waszej ręki.
Niegdyś ją niedaremnie nosiłem przy boku;
Dzisiaj jam mnich!...« tu umilkł i z cichą łzą w oku
Dał cechmistrzowi szablę z pochwą jaszczurową,
I uczynił pobożnie krzyż nad jego głową.
Potem zaczął dobywać strzelby i pałasze
I rzekł do zadziwionych: »Zbrojcie dłonie wasze!«
A gdy brali, każdego starzec błogosławił,
Aby walczył, kraj zbawił i bronią się wsławił,
I kończył tak: »Wam dziwno, zkąd dostałem broni?
Długoletnia to praca tej zgrzybiałej dłoni.
Maciejowicka bitwa zrobiła mię mnichem,
A com grosza uzbierał w mojem życiu cichem,
Czy z jałmużny, czy z datku, czy to ucząc dziatwę,
Kupowałem broń, kędy kupno było łatwe.
I nieraz mi się serce zakrwawiło troską,
Gdym patrzył, jak frymarczył syn bronią ojcowską. —
Toż brałem z rąk niegodnych i skryte na grzbiecie
Nosiłem szable, kule i proch przy muszkiecie
Pod habitem; — zaś nocą zachodziłem w lochy:
Tu'm chował szable, strzelby, tam — kule i prochy.
Bo czułem to, że kiedyś wstanie głos: Do broni!
Więc myślałem: ja, stary mnich, broń podam dłoni.
I żywiłem nadzieję, że tą moją pracą
Młodzi kiedyś Moskalom nasze łzy zapłacą.
Nadeszła mi ta chwila! idźcie w imię Boga!
Błogosławiona wasza od aniołów droga...
Idźcie i zwyciężajcie!...« Upadł na kamienie,

I rozległo się długie w grobowcach milczenie;
Tylko szepty pacierza jakby szmer strumyka
Płynęły... Tak zostawił cechmistrz zakonnika
W grobach i poszedł w miasto. W mieście pożegnany,
Poszedł ku ciemnym lasom przez wołyńskie łany,
Chciał bowiem Dwernickiego oddział spotkać wcześnie.
I patrzono za nimi długo i boleśnie.

XI.

I tydzień już w Krzemieńcu przeminął bez troski;
Snuły się tylko często po mieście pogłoski
O Dwernickim, cechmistrzu, że się już spotkali,
Że jenerał zniósł potem gdzieś obóz Moskali,
Zabrał działa, ztąd dział go *liwerantem* zwano.
A z baszt zamku Krakusów co dnia wyglądano,
Co tworzyli straż przednią przy jego pochodzie;
I takie było życie w krzemienieckim grodzie.
Czasem się też przemknęła wieść groźna i chyża,
Że się Roth feldmarszałek od Mołdawji zbliża,
Srogi Inflantczyk, luter na służbie u cara,
U którego sto knutów już najlżejsza kara.
Ale w klasztorze cisza, jakby zasiał makiem.
Co dnia się ojce korzą przed zbawienia znakiem
I śpiewają wotywy, matutinum, hory,
Tylko gwardjan zwykł dłużej odprawiać nieszpory;
Czasem i noc przemodli zamknięty w swej celi —
Tak go nieraz ojcowie szczeliną widzieli.

XII.

Ranek był; na zamkowej górze ludzie stali,
Wtem się z mgły wysunęła kolumna Moskali.

Przodem kozacy, w rzędach za nimi piechota,
W środku działa i wozy; tak szedł korpus Rotha.
Więc zeskoczył kościelny ze zamkowej wieży,
I, głosząc wieść, przez miasto do klasztoru bieży;
Za nim tuż starców, dzieci i kobiet gromada
Przelękła i zdyszała do klasztoru wpada
I woła o ratunek. Gwardjan wyszedł z celi:
»Dzieci, zkąd wasza trwoga? gdzieście ich widzieli?«
»Pod miastem! rzekł kościelny, niech ojciec nie zwleka,
Jeno niechaj co rychlej do lasu ucieka.«
Ale na to rzekł starzec: »Jam w służbie u Boga,
Prościejsza mi do Niego, niż do lasu droga.
A jeśli on mię woła, znać sługę pamięta;
Wy idźcie, ja zostanę, wola Jego święta!«

XIII.

Lecz już się na podwórze ćma kozacza wali;
Pod kościołem stanęła kompanja Moskali,
Druga przed furtą, z boku kibitka gotowa
Z feldjegrami, — i cisza nastała grobowa.
Zadrżał lud; — major wchodzi, za nim praporszczyki,
I wołają: »Gdzie stary mnich, gdzie buntowszczyki!«
Na to wystąpił starzec i rzekł: »Kto mię woła?
Jeśli wy, czego chcecie od sługi kościoła?«
»Buntowszczyk! krzyknął major, składaj broń scho-
[waną!
Bo cię tu każę ćwiczyć, że umarli wstaną.
Oddaj broń, albo klasztor armatami zburzę!
Czegoś na mnie wytrzeszczył twoje oczy duże?
A znasz ty prawo cara? Buntowszczykom knuty!

Słyszysz ty mię? Pozbędziesz ty się zaraz buty!«
I pochwycił za szpadę i zwinął nad głową.
Starzec milczał, w majora patrzył się surowo,
A potem rzekł: »Broń dałem tym, co warci broni.
Niech ich teraz, majorze, twój oddział dogoni
I wydrze z rąk walecznych tę broń poświęcaną,
Innej nie mam, a ze mną rób, co ci kazano.«
»W lochy wiedź!« krzyknął major. Ksiądz rzekł:
[»Tam broń stała!
Już na jej ostrzu błyska mego ludu chwała!
Na głowę twego cara święciłem ją łzami.
Chodź — chodź!« — I do kościoła poszedł z Moskalami.

XIV.

I już w ciemny loch starzec majora prowadzi.
Praporszczyki przed wchodem zostali nieradzi;
Wstyd im, że w starym czerncu tyle jest spokoju.
Jenerałów widzieli pierzchających w boju,
A tu im lacki czerniec stawa taki mężny,
Jak gdyby miał za sobą cały pułk orężny
Imperatorskiej gwardji. I rzekł jeden z cicha:
»Ot niechby major puścił z Bogiem tego mnicha,
Bo ludzie nas wyśmieją, że w mury Krzemieńca
Poszliśmy z całym pułkiem po takiego jeńca.«
Ale zamilkł i stanął u wschodu jak wryty,
Bo przy pochodni ujrzał blask majorskiej kity:
Poszedłby do Irkucka, gdyby major słyszał.
Major powracał z starcem i od złości dyszał
I klął i groził szpadą: »Ja tobie pokażę!
Hej! praporszczyki, śpieszno przetrząść mi ołtarze!

Kto znajdzie broń, chrest złoty ma w rozkazie dziennym,
Bo mnie już łeb się kruszy z tym czerńcem kamiennym.«

XV.

Ale staruszek z krzyżem stanął przy ołtarzu.
I krzyknął do majora: »Precz mi ztąd, zbrodniarzu!
To sakrament!« I ogień zajaśniał mu w twarzy,
Lewą święte ciborium zakrył od zbrodniarzy,
Z ócz mu patrzyła świętość, a potęga z czoła; —
W prawej krzyż podniesiony jak miecz archanioła
Błysnął nad Moskalami piorunem Jehowy,
Że cofnęli się w zgrozie i schylili głowy.
Lecz major krzyknął: »To czar! porwać czarownika!«
Więc skoczyli, porwali z krzyżem zakonnika
I nieśli do kibitki.
Lud czekał ze łzami.
Starzec święty znak krzyża zrobił nad głowami,
I niesiony zawołał: »Nie płaczcie mię, dzieci!
Daleko ta kibitka — na Sybir poleci,
Ale zwycięztwo z wami, bo Bóg przeklął cara!
Car zginie, lud zostanie, z ludem święta wiara!«
I zadzwonił kałakoł, w czwał pomknęły konie,
Poleciały z kibitką na szerokie błonie.
Pieśń dziką zaśpiewało kozactwo w pochodzie, —
I rozległa się cisza w krzemienieckim grodzie...

1860 r. w maju.

Przewodnik w puszczy.

»Idzie żołnierz, borem, lasem« —
Stara pieśń.

»Kto się w opiekę poda Panu swemu«.
Jan Kochanowski. Psalm.

Zapamiętał Rejtana, Kościuszkę, legjony,
Patrzył się na walące i wstające trony:
Mnogo miał ran na ciele; w sercu jedną chował.
Z niej jak z kłębka tułaczy żywot mu się snował,
I niejedną mu zatruł pierś godziną bolu,
Do chwały go prowadził po niejednem polu,
I nadzieją oblewał, albo krwią gorącą.
A kiedy w świat się puszczał, pierś miał pałającą
I serce dla uniesień otwarte szeroko,
Śmiałą myśl i na przyszłość wytężone oko.

Dziś niezdolen z bagnetem rzucić się na szaniec,
Wziął do ręki kij gruby, a za pas różaniec;
Nawiedza święte miejsca i Bogu się kłania,
Że pośród krwi i zgrozy dał mu moc wytrwania.

I nieraz łaską otarł krwawy pot ze skroni,
I z Sybiru ojczystej powrócił go błoni.

»Teraz, — rzekł*) nam — powracam z Baru,
[z Neapolu.
Jak Panna w Częstochowie, Piotr na Kapitolu,
Tak tam święty Mikołaj z wielu cudów słynny.
Pokłon Bogu za łaski złożyłem powinny,
I uczciłem patrona od dzikiego zwierza.
Musiałem ślub mój spełnić, bo mój kres domierza.
Za Sybir byłem w Rzymie, byłem w Palestynie,
A za dobrego zwierza z Baru idę ninie.
Święty Mikołaj w borach nawiedził mnie cudem.
Bór był wielki, dróg żadnych, a jam znużon trudem
Błądził nocą...

»Gorące to czasy i dawne!
O! bogdaj pomyślniejsze były a mniej sławne.
Mielim sławę nieszczęścia, poświęcenia, męztwa;
Szlim do boju, padali, Bóg nie dał zwycięztwa.
Dał nadzieję — pochylam czoło przed nim w skrusze.
W ogniach się hartowały jak stal nasze dusze,
Żylim daną nadzieją, a każdy cios nowy
Spotykał nas hartownych od stóp aż do głowy:
Bo i jakże nie miała zatwardnieć tak dusza,
Gdy nie stało ojczyzny, wraz i Tadeusza?!

---

*) Opowiadającym jest pułkownik i pielgrzym Olszewski Od niego słyszałem to zdarzenie i starałem się oddać je jego słowami. *(Przyp. aut).*

»Zdrowiałem z ran, wtem słyszę formują legjony.
Kij do ręki, ojczyste pożegnałem strony
I ruszyłem w pielgrzymkę krętemi scieżkami,
By przejść cało, a zima stała już za drzwiami.
Radzą: »Czekaj!« Nie słucham. »Zginiesz gdzieś
[od mrozu.«
Jabym się im był wtedy oderwał z powrozu,
Tak mnie gnało... Ruszyłem; w polach biało,
[smutno;
Wiosek rzadziej, dróg rzadziej, za borami Kutno,
A mnie droga na Kutno: Ha! myślę, wiedź, Boże!
Tylem przebył, przebędę puszczy tej bezdroże.

»Późno było; gwiazd kilka wybłysnęło z nieba...
— Dziś do puszczy nie wejdę, gdzieśby przespać
[trzeba.
Oglądam się za chatą; pusto, zimno srodze,
A tu-owdzie ślad wilczy na śniegu znachodzę.
Wtem błysnęło pod puszczą, jakby od krzesiwa.
Człowiek blisko: hop! wołam, on mi się odzywa,
I wnet słyszę jak śnieg mu krok za krokiem chrupie.
Chwała Bogu! znów jedną noc spędzę w chałupie.

»Po chwili stał przedemną wieśniak z pękiem łomu.
Spojrzał na mnie i pyta: »Zkąd wy? jak wy z domu?
Co prowadzi was tędy?« Jam zamilkł o celu,
Bom go nie znał, i rzekłem: »Miły przyjacielu,
Czy dojdę dziś do Kutna?« On się wielce zdumiał.

Patrzył we mnie, z pytania znać się dorozumiał
I rzekł potem: »Do Kutna? oj! nie tam ci droga,
Wyście wojak, wy chcecie z Francuzem bić wroga!
Dobrze! dobrze! lecz chodźcie zanocować w chacie.
A jak wy się zuchwale w tę drogę puszczacie,
O! żal mi was!« I tak się rozrzewnił nademną,
Że samemu mi w oczach od łez było ciemno —
Pod siermięgą pierś taka — taka zacna dusza!
I on był pod Dąbrowskim i znał Tadeusza.

»Stanęlim przed zagrodą — Dziw! istna reduta.
W krąg okop, palisady mocne, brama kuta;
Myślałem, że tu który nasz oddział się schował,
I pod puszczą od wrogów tak się oszańcował.
A wieśniak rzecze: »Patrzcie, jak my tutaj żyjem.
Bór w koło, noc w noc prawie z wilkami się bijem;
Okopywać musimy chatę i obory.
O! już ja was przed wiosną nie puszczę w te bory.

»I tydzień mi przeminął z wieśniaka rodziną.
Biedni byli, lecz nigdy z myśli mi nie zginą
Zadumane ich twarze, szczerość ich i cnota.
Serca im otaczała cisza i prostota.
On, jakbyś z grobu zbudził kołodzieja Piasta,
Ciosał koła i sprychy, len przędła niewiasta,
Dziewka warzyła strawę, a dzieciaków dwoje
Oprą, bywało, ręce na kolana moje,
I patrzą jak aniołki na mnie, gdy im prawię

O kosach racławickich i Kościuszki sławie.
A gdy wspomnę, że w drogę czas mi, że grzech
[czekać,
To jak pocznie biedactwo to na mnie narzekać:
»A czy wam zginąć pilno! czy my wam nie radzi?«
Tyle mi się łez naraz przy sercu zgromadzi,
Że milknę, a gospodarz smutny przy mnie siada
I o wilkach tej puszczy dziwy opowiada.

»Lecz jesli Bóg pielgrzymkę raz przeznaczy komu,
To go ni łza ni prośba nie utrzyma w domu.
Pójdzie, choć by miał zginąć: tak było i ze mną.
Usnąłem raz, sny dziwne krążyły nademną.
Budziłem się, żegnałem, wszystko nadaremnie.
Zasypiałem — lecz serce spać nie mogło we mnie
I obaczyłem we śnie nieznane mi strony:
Wiosna była na polach, błękit rozjaśniony,
A przy wzgórzu, gdzie srebrny strumyczek się zdroi,
Patrzę, stoi Dąbrowski i nasz legjon stoi.
Poznaję ich: to wszyscy moi towarzysze! —
Jedni: Czemu mnie nie ma? zapytali — słyszę.
Drudzy rzekli: »Zapomniał!« — Pierś mi się ścisnęła—
A wtem legjon zaśpiewał: »Jeszcze nie zginęła.«...

»Pomodliłem się Bogu za tę w śnie przestrogę.
Zbudziłem gospodarza: »Bracie, ruszam w drogę!«
Rzekłem doń. On się zerwał: »Czy śni się wam,
[panie?«

»Śni mi się i wyśniło boże nakazanie,
Bym nie marniał, lecz śpieszył w szeregi do braci.
Bywaj zdrów! za twe serce niech ci Bóg zapłaci«.

»Dziatwa w jęki i w prośby, ja trwam niezachwiany.
Gospodyni zaklina na Chrystusa rany.
Wreście rzekła: »Ha! snać wam Bóg przeznaczył
[drogę;
Idźcież z Bogiem, bo trudy czekają was mnogie!«
I wyniosła kobiałkę ze serem i chlebem,
Dała mi ją na drogę, błogosławiąc niebem,
I szkaplerz poświęcony dała mi ze wstęgą.
Chłop zaś ciepłą mi plecy osłonił siermięgą,
I uczył jak iść puszczą, gdzie się obłęd kręci —
Zacni ludzie! niech Bóg im chowa to w pamięci
I ich dziatwie! Ruszyłem, oni we drzwiach stali,
I słyszałem z daleka, że głośno płakali.

»Idę, puszcza przedemną jeszcze w mrok osnuta,
Mróz ciśnie, lecz mnie w sercu gra wesoła nuta
Pieśni, tej czarodziejki zesłanej od Pana —
Śpiewam sobie jak ptaszę obudzone z rana.
Gwiazdy poczęły gasnąć, dzień zaświtał blady;
Widna puszcza, ku puszczy wiodą wilcze ślady,
Świeżo, dzisiejszej nocy udeptane w śniegu.
Mróz mnie przejął: śmierć wita u samego brzegu;
Gdy wejdę w głąb, pochłonie mnie tam bez litości,
I tylko śnieg przyprószy rozniesione kości.

»A posępnież ta puszcza zdala wyglądała.
W prawo, w lewo bezbrzeżna; z wierzchu szata biała
Osłaniała jej wnętrza ponure ciemnice,
Gdzie spojrzawszy, myślałeś, że wchodzisz w kostnicę
Owieszoną białością na przekor żałobie,
Aby się śmierć tak straszną nie wydała tobie.
Na skraju cztery dęby jak dziady brodacze,
Opodal płaczka brzoza, znać już kogoś płacze;
Pochyliła ramiona i bogate włosy,
Na które się rzuciły bluszcz i zmarzłe wrzosy,
Jak gady obłożone łuską kryształową:
Za nią szumiało w puszczy snu wiecznego słowo.

»Nie łatwy ma, bywało, przystęp do mnie trwoga,
Ale ten szum ponury, ta samotna droga,
Te jodeł kolumnady, co stały przedemną,
Smutne gdzieś w nieskończoność wijące się ciemną;
Te zwieszone z gałęzi śnieżyste kotary,
Które tu dzień już złocił, tam gubił mrok szary;
I jałowce pod śniegiem stojące jak duchy,
I ten zalatujący czasami ryk głuchy;
To wszystko, dziś ja żołnierz z wstydem wyznać [muszę,
Taką zgrozą ziębiącą owiało mi duszę,
Że stanąłem jak wryty, myśląc, że szatani
Prowadzą mnie umyślnie w bezmiar tej otchłani,
I obłędem mi splączą w puszczy krok tułaczy,
A potem ducha porwą w piekło, gdy zrozpaczy.

»Trzeba wrócić i czekać, aż Bóg ześle wiosnę.
Tak dumając, o starą oparłem się sosnę,
I z różnych wspomnień wnioski wyciągając różne,
Myślałem, kędy kroki obrócę podróżne,
Bo do chaty wstyd wracać. Lecz wnet duszę skrzepłą
Jakieś zdrowe mi w piersiach ocuciło ciepło:
»Ludzi wstyd? — pomyślałem — a nie wstydże [siebie?«
Ocknąłem się, uczułem, że nademną w niebie
Czuwa Bóg wszechmogący i jego anioły.
Więc przeżegnawszy piersi ruszyłem wesoły;
Brnąłem w śniegi lub gęste rozdzielałem krzaki,
Z których wyskakiwały pierzchliwe szaraki,
I uciekając ślad mi zostawiały w boru,
A ja tym śladem szedłem w głąb aż do wieczoru.

»Zdało mi się, że puszczy przeszedłem połowę;
Jutro reszta. Lecz gdzie tu dzisiaj złożyć głowę?
Znużony byłem wielce; głód i mróz mnie cisnął.
Księżyc tylko czasami z poza jodeł błysnął,
I siejąc na śnieg biały iskrzące promienie
Prowadził mnie przez puszczy tej straszliwe cienie.
Tak zaszedłem — a pewnie z północy już było —
Na polanę, gdzie jodłę ujrzałem pochyłą;
Więc wydarłem się na nią tyle, by mnie z ziemi
Nie dostał wilk lub niedźwiedź pazury ostremi —
I zajrzałem w kobiałkę.

»Tego nie opiszę,
Jaką ja tam noc miałem, w nocy jaką ciszę,
A czasami ryk jaki wilków, co szły z dali.
Kiedy ryknął, to zda się, że puszcza się wali.
Zwietrzyły mnie, nadchodzą, stają pod mem drze-
[wem,
Obwąchują je w koło, patrzą na mnie z gniewem,
Że daleko im siedzę; skowyczą, coś radzą;
Odbiegną precz; to znów się pod drzewem gromadzą
I skaczą, czy mnie który skokiem nie dostanie;
Ale darmo. — Ja z góry patrzyłem się na nie,
Trzymając się konarów i modląc się Bogu,
Bom się iście już widział na wieczności progu.

»Odetchnąłem, gdy przeszły. Lecz gdy wilków niéma;
Kiedy cicho, powieki skrzepłej sen się ima.
A zasnąć tu, to znaczy zasnąć już na wieki
Bez pojednania z Bogiem, bez bratniej opieki,
I pohodować wilki i nie dojść w legjony! —
Złote płatki padały na mój wzrok znużony,
Albo sto gwiazd tańcując w sen mnie kołysało
Tak, żem spadał. Więc wtedy w dłoń z zimna sko-
[stniałą
Chwytałem śnieg z gałęzi i tarłem nim skronie.
I tak noc przepędziłem na tym strasznym tronie. —
Ach! tylko jeden Bóg wie, co się ze mną działo.
Jeszcze raz przyszły wilki, potem zaszarzało.

»O! światłości, o! dziwna, o! niewysłowiona!
Iście, samemu Bogu tyś wytrysła z łona.
I tylko ten, któregoś tak wywiodła z cienia,
Lub kto ciebie obaczył wychodząc z więzienia,
Ten wie, czysta światłości, czem twój promień złoty!
Bóg tworząc cię, uczynił przewodniczką cnoty;
Przez ciebie mu na ziemi pierwsza zeszła chwała,
Jak ja, niegdyś tak ziemia na »stań się!« czekała.
I stało mi się widno, zeskoczyłem z jodły,
Złożyłem panu Bogu za noc korne modły,
I śpiewając ruszyłem przez śniegi, przez kłody,
Z lepszą wróżbą o jutrze. — Jutro? O! duch młody
Wierzy w jutro jak w Boga; gdy jutro zawodzi,
Wierzy w drugie i w trzecie... Szczęśliwi wy młodzi!
Wam się uśmiecha jutro — mnie tam za gwiazdami
Czeka już Bóg! —

»Więc brnąłem cały dzień śniegami
Bez chwili odetchnienia, pokąd nóg mi stało.
Kiedym usiadł odpocząć, w puszczy już szarzało.
Mróz brał coraz silniejszy, śnieg skrzypiał pod nogą,
Wstałem, bo mi się zdało, żem się minął z drogą.
Chłop mi mówił, że dobrze idąc do wieczoru,
Jutro ujrzeć mam Kutno wychodząc już z boru.
Lecz wieczór, bór nie rzednie, jednaki do koła,
Tu-ówdzie księżyc złoci białe jodeł czoła,
I spojrzy czasem ku mnie smętnie jak na brata,
Który w tej dzikiej puszczy zgubi młode lata;
Potem chowa się, idąc za drzewa i chmury,
I ciemno mi, a z puszczy słychać ryk ponury.

»Ha — myślę — możem tylko odbłąkał się bokiem,
Jeszcze czas«. — I ruszyłem naprzód śmiałym kro-
[kiem.
Choć mróz był, pot kroplami ściekał mi po czole,
Tak śpieszyłem, na bożą spuszczając się wolę...
Lecz poznałem, że idąc błądzę coraz dalej...
Strach, mróz, niemoc, znużenie prawie z nóg mnie
[wali:
W oczach ćmi się, z za jodeł jakieś duchy, cienie
Na pół nęcąc, pół grożąc, ślą ku mnie spojrzenie,
I wabią w sen. Ja duchy świętym krzyżem gonię,
Chwytam śnieg, na pierś kładę, trę nim senne
[skronie,
Bo kiedy już tak blisko śmierć stawa koło mnie,
To chciałbym jak katolik umierać przytomnie,
I Bogu wypowiedzieć to, czem pierś oddycha. .
Stanąłem — i począłem pacierz szeptać z cicha,
Pacierz, jak mi się zdało, na ziemi ostatni,
Którym duch mój świat żegnał, śpiesząc do wypłatni.

»A w puszczy było cicho; śmierci sen głęboki
Objął wszystko. Po chwili usłyszałem kroki,
Raz w lewo, raz na prawo wijące się śniegiem,
Jak zwierza, który strzelca chce omylić biegiem.
»Jeśli to wilk mnie wietrzy, czem ja się obronię?«
Lekkim tylko kosturem zbrojne miałem dłonie,
A w kobiałeczce nożyk do sera i chleba,
Lecz z krzesiwkiem; więc — myślę — ognia skrze-
[sać trzeba,

Skoro wilk się pokaże: wilk ognia się boi.
Dobyłem nóż i krzemień, patrzę — on już stoi.

»Krzyknąłem i za jodłę cofnąłem się krokiem.
Krzeszę ognia, wilk stoi, patrzy na mnie wzrokiem
Takim, jakby żałował tego, że mnie strwożył.
Księżyc świecił nań z góry, on się w śnieg położył,
Podniósł mordę i wietrzył, czy sam jeden stoję;
I znów we mnie utopił jasnych oczu dwoje,
Swiecących jak dwa węgle, a te mnie wzywały
Jakąś niemą wymową, bym szedł i był śmiały.

— »Nie uwierzę ja tobie, mój pokorny wilku.
Ty leżysz a za tobą w krzakach czycha kilku,
I ledwie ztąd się ruszę, wpadną na mnie z kłami;
Wolę stać i zamarznąć, niż szarpać się z wami«.
A on, jakby te wszystkie myśli odgadł we mnie,
Powstał, spojrzał i począł odchodzić odemnie
Z łbem zwieszonym, chcąc pewnie przekonać mnie [bieden,
Że nie mam się bać czego, bo on tu sam jeden.

»Nieraz, gdym opowiadał, ludzie małej wiary
Mówili mi, że to był pies jak wilki szary,
A jeśli wilk, to pewnie pieszczony z podwórza.
Ja nie wątpię, że łaska spotkała mnie boża; —
Tylekroć mnie zbawiwszy z rozlicznego trudu,

Czemużby i z tym wilkiem Bóg nie zdziałał cudu?
I wyznam, że gdym w oczy patrzył mu zdaleka,
Zdało mi się, że wilk ten ma oczy człowieka;
Stworzon do krwi, nie szukał we mnie swieżej
[strawy —
Patrzył bystro, lecz w oczach jak promyk bladawy
Przebiła się czasami jakaś niema żałość,
Od której mi do serca powracała śmiałość;
I chociaż noc wczorajsza w pamięci mi stała,
Coraz więcej pierś moja z nim się oswajała.
A wilk, jakby zrozumiał, co ja myślę w duszy,
Stanął, wpatrzył się we mnie, w górę podniósł uszy,
I pomiędzy jodłami krążył w około mnie,
Coraz ciaśniejszem kołem, coraz bliżej do mnie,
Aż przyszedł tak, że mógłbym uderzyć go nożem,
I stał; a jam czuł litość z tem stworzeniem bożem.

»Stalim tak. Ja czekałem, czy na mnie nie skoczy.
On mi ciągle jednako smętnie patrzył w oczy,
Jakby mi chciał powiedzieć, że mu źle w tym boru,
Gdzie każdy go się lęka jak złego upioru,
I zabija, gdy może, oszczepem lub kulą.
A czasem mu się oczka świecące tak czulą,
Jak gdyby mi dziękował, że ja z nożem stoję
I zaszkodzić mu nie ma złości serce moje.

— »Ha! to cud! ten wilk szuka z tułaczem przy-
[mierza.
Niedola dzisiaj zbliża do człowieka zwierza

I takie między nimi tworzy obcowanie,
Jak tam w raju, gdy z ręki twojej wyszli, Panie.

»A po niejakim czasie, któż temu uwierzy?
Wilk przystąpił, paszczęką dotknął mej odzieży
I pociągnął za połę, potem odszedł kawał,
Wrócił i znów pociągnął; tem znaki mi dawał,
Bym szedł za nim. Ha, myślę — niema co wybierać,
Czy tu, czy głębiej w puszczy — jednako umierać —
A może też cudowny, wszechmogący Boże,
Z tej puszczy się wybłąkać wilk mi dopomoże.
I ruszyłem. On widząc to, podskoczył żwawo,
Jak z radości, a potem szedł powoli w prawo,
Oglądając się za mną, czy idę, czy stoję?
Wiodło mnie tak godzinę to wilczysko moje,
Aż do kłody, gdzie stanął, i tem znak mi dawał,
Jakby czuł, żem znużony, abym i ja stawał.
Toż widząc tę troskliwość w wilku przyjacielu,
Stanąłem, jako stanął Eljasz na Karmelu,
Gdy znużonemu głodem skromne pożywienie
Przyniósł nagle kruk czarny przez boże zrządzenie.

»Usiadłem, błogosławiąc za cud niebios Pana.
Wilk stał, czasem paszczęką dotknął mi kolana,
Spędzając mi sen z oczu! bo spałbym na wieki,
Gdyby mi sen na mrozie skleił był powieki.
Ja zaś sądząc, że długo jeszcze iść mi trzeba,
Dobyłem ser z kobiałki i kawałek chleba,

Chcąc posilić się w drogę darem zacnej ręki.
Lecz mam druha, więc sera uciąłem kęs miękki
I podałem wilkowi, by pożywał ze mną.
On nie przyjął go, może przez litość nademną,
A kiedym się posilił, znów mnie wziął za nogę,
Dając znak, że noc długa i czas ruszać w drogę.

»Ruszylim; wilk szedł przodem. Długo bór jednaki
Ciągnął się. Wnet ujrzałem ośnieżone krzaki
Leszczyny i jałowcu, jak na tamtej stronie,
Kiedym, wchodząc do puszczy, żegnał jasne błonie.
Więc i kres nie daleko, bo krzew tylko rośnie
Z kraju borów. Serce mi jęło bić radośnie;
Lecz pomny, że tak samo krzewiem się poczyna
Polana, gdziem nocował, gdzie wilków drużyna
Skakała ku mnie w górę, przestałem się cieszyć.
Wilk szedł raźno, musiałem i ja krok przyśpieszyć.
Wreszcie stanął, ja staję, patrzę: wielki Boże!
Przedemną szczere pole, otwarte jak morze,
Ciągnie się, że oczyma trudno mi je zmierzyć!
Patrzę na szczęście moje i nie śmiem mu wierzyć.
I jak Mojrzesz stał w skrusze przed krzakiem [w płomieniach,
Tak ja utkwiwszy oczy w tę błoń, w nocnych [cieniach,
Kruszyłem się, pacierzem wielbiąc wszechmoc Boga,
Któremu w puszczy była widna moja droga.

»Wilk czekał, jakby więcej nie chciał mnie porzucić.
Lecz kiedym szukał wzrokiem, gdzie kroki mam
[zwrócić,
Obejrzał się i ruszył skrajem puszczy w lewo,
Gdzie ujrzałem z daleka we mgłach nocnych drzewo
I chatę na opłotek skłonioną pochyło,
I dwa okna, a w oknach światło się świeciło.
Tu stanął mój druh wierny, przewodnik mej drogi,
Patrzył mi długo w oczy, łasił się u nogi;
Jam go głaskał i płakał i modlił się: »Panie!
Niech się nigdy to zwierzę strzelcom nie dostanie;
Udziel mu pożywienia od ludzi zdaleka —
On jest głodny, a przecież ocalił człowieka«.

»Potem zawył żałośnie mój wilk, spuścił głowę
I począł iść powoli w otchłanie jodłowe,
Oglądając się za mną, czy idę, czy stoję.
Stałem, pokąd nie znikło w boru zwierzę moje,
I poszedłem do chaty, gdziem spędził dni kilka —
Lecz odtąd jużem nigdy nie strzelał do wilka.

»Z chaty'm ruszył w legjony; leksza była droga.
Przecierpiało się wiele i biło się wroga...
Teraz powracam z Baru, gdziem zginał kolana
Przed możnym cudotwórcą, pielgrzym z woli Pana.
Ale ktokolwiek, dzieci, dobrej sprawie służy,
Niech się nigdy nie lęka przygód, ani burzy,
Ani przepaści, które stawiają przegrody,

Ani dzikiego zwierza, ani bystrej wody,
Ani od zwierząt często sroższych, dzikszych ludzi.
Niebezpieczeństwa przed nim Pan na chwilę budzi,
A jeżeli je sercem zwycięzko pokona,
To w niebie tam aniołom radość nieskończona,
I takiego zwycięzcę na swych skrzydłach niosą,
Kędy sobie zamierzył, by nie stąpił boso
Gdzie na godzinę podłą, lub podlejszą duszę.
Toż jeśli wam któremu droga, jako tuszę,
Wypadnie w świat daleki dla narodu sprawy,
Pamiętajcie, co mówię: dobrym Bóg łaskawy,
I sług swoich nie gubi, lecz je chętnie waży,
By świat wiedział, na co się szlachetność odważy!«

1861.

Uczta Geronowa.

Pieśń wam zaśpiewam! w pieśni prawdę szczerą:
Był u Ottona wielki margraf Gero,
Nad podbitymi postawion Słowiany,
A w każdej sprawie rycerz zawołany.

I miał ten Gero murowany dwór,
Co wieżycami wspinał się do chmur;
Miał jasną zbroję i stalowy miecz,
Co w bitwach głowy z karków zmiatał precz;
I zgraję knechtów na wszelkie rozkazy,
Krwawych jak wilcy, a zimnych jak głazy.

A pierś Gerona była jako stal;
Nie znał litości, nie tykał go żal!
Niech drży podbity — niechaj znosi dań,
Jeśli mu miła nieprzerżnięta krtań!
Więc już o buntach zaprzestano marzyć,
Nawet lirnicy nie śmieli się skarżyć.

I była radość pomiędzy Germany,
Że legł Słowianin jak lew okowany;
W Mersburgu Otto na cesarskim tronie
Ściskał margrafa zakrwawione dłonie.
I poczcił złotym łańcuchem Gerona
I kazał nowe podbijać plemiona.

Siadł więc graf Gero w murowanym grodzie,
I śpiewał Panu psalmy o zachodzie.
I kazał sobie podać wina dzban
I pił i marzył, jak go podniósł Pan!
Ha, nie dość jeszcze! więc zamierzył graf,
Jakby do Lachów Odrę przebyć wpław.

A tam — już długo chowa się z tem w łonie, —
Tam chce graf usiąść na udzielnym tronie.
I władnął berłem po zaborach wzdłuż...
Marzył — i z rodu króle liczył już.

I o dłoń szorstką wsparł brodatą twarz, —
Wtem w róg zagrała przedmurowa straż:
»Kto?« »Goniec, grafie«. Goniec w drzwiach już stoi,
Jeno się wieści wypowiedzieć boi.

I drżąc wyjęknął: »Grafie! ciężko nieść
Do twoich uszu taką srogą wieść.

Patrz! Lach Słowianin, co tak twardo spał,
Jak głodny niedźwiedź z pazurami wstał,
U bożych świątyń porozwalał drzwi
I skąpał ręce w grafa Haika krwi«.

Lecz graf stał zimny.

Choć u granic wróg,
Nie zbroi knechtów ani wiernych sług.
Każe nieść wina, miody i bić woły,
Każe do uczty stawiać sute stoły;
Do lackich książąt zaprosiny śle,
Jakby w najlepsze i przyjazne dnie;
Czasami tylko ściągnie czarne brwi
I mruczy pod wąs: »Napiłbym się krwi.«

A ledwie zeszło w trzeciej dobie słońce,
Od lackich książąt powrócili gońce.
Gero rad z wieści... Hej, już dzwoni róg,
Już wchodzą kniazie w Geronowy próg;
Trzydziestu książąt, szczera lacka krew —
Szerokie czoło, ciemna w kabłąk brew,
Otwarte lica, w źrenicach błękity,
U bioder szable, a na głowach szczyty.

W świątecznej szacie Gero we drzwiach stał,
Powitał kniaziów — dłoń każdemu dał.
Czarnego ducha tak ukrył postacią,

Iżby rzec można, brat wita się z bracią
I w dom prowadzi i wyrządza cześć; —
I każe misy przed kniaziami nieść,
Prosi, by na bok odłożyli bronie
I stół zasiedli po obojej stronie.

Ucztują kniazie; w sali rośnie gwar,
Coraz weselej od pieśni, od czar,
Coraz serdeczniej; co wychylą dzban,
Podaje świeży, hojny zamku pan.
I zapomniało szczere lackie plemię,
Że chciwy Gero dybie na ich ziemię,
Że krew już płynie u odrzańskich wód, —
Taki graf zdziałał gościnnością cud.
A Gero wstaje i woła do sług:
»Niechaj zadzwoni paź w złocisty róg!
A ja ten puhar wznoszę wam, kniaziowie!«
I pełny puhar pił za kniaziów zdrowie.

A gdy pił Gero, paź na rogu grał
Dziko, jak wicher wyjący śród skał.
Na ten głos knechty z morderczym żelazem
Wpadli i kniaziów otoczyli razem,
I skrępowali sznurami ramiona,
Cięli im gardła i kłuli im łona.

A możny Gero nad trupami stał,
Uśmiech na ustach, w dłoni puhar miał.

»Siądźcie za stołem, wołał, bracia moi!
Gero się buntu wyrżniętych nie boi!«

I wnet ze sali każdy smętny trup
Poszedł za okop sokołom na łup.
Sokoły niosły wieść na lackie pola,
Że wodzów taka spotkała tu dola. —

I siadł graf Gero w murowanym grodzie,
I »De profundis« śpiewał o zachodzie —
I kazał sobie podać wina dzban,
I pił i marzył, jak go podniósł Pan!
A potem senną głowę sparł na łonie
I o złocistej zamarzył koronie.

Taka to była owa uczta sławna,
I tak Germany wojowali z dawna.

Listopad 1859.

Gero na Lachach *).

Z chaty do chaty leci wieść,
Zachodni wiatr ją począł nieść,
Płacze nią w polach, w możny dwór
Bije nią jako piorun z chmur,
Przeraża panów, rycerzy, kmieci,
Zatrważa starców, matki, dzieci;
Pomordowanych książąt wdowy
Ze snu takiemi budzi słowy:

— O! płaczcie, wdowy! płakać czas;
Niema już komu bronić was!
Niema już komu bronić grodu,
Ni kmiecej strzechy, ni narodu!
Mężowie wasi, wasi kochani,
W domu Gerona pomordowani!

---

*) Pierwsza część tego poematu drukowana była w „Dzienniku literackim“ r. 1860 pod tytułem: Uczta Geronowa. — Podajemy ją powyżej tak, jak ją umieścił „Dziennik literacki.“

I zapłakały wdowy wraz:
»Niema już komu bronić nas!«

A możny Gero syna do się zwie:
»Sygfrydzie! rzecze, młody ty mój lwie,
Trzoda bez stróża łupami dla zwierza,
Naród bez wodza łupem dla rycerza:
Wybiłem wodzów z nadodrzańskich stron; —
Waleczny synu! pójdźmy zbierać plon!«
Tak wyszedł Gero i na ławie siada,
Lecz Sygfryd stoi i nie odpowiada.

Więc Gero znowu: »Nasz cesarz i pan,
Znany z potęgi a i z łaski znan,
Lecz pańska łaska — to szalony koń,
Dziś mu ta miłą, jutro owa błoń.
Dobrze, gdy pomny pan swojej czeladzi,
Lepiej, gdy sługa sam o sobie radzi.

»Dziś ja *margrafem.* — Otto możny *król;*
Dla mnież to niema na królestwo pól?
Otto po Łabę, moje państwo dalej.
Synu! Sygfrydzie! będziem królowali,
Prześcigniem samą Ottonową moc.
Zbierz lud, na Słowian wyruszymy w noc«.

A Sygfryd rzecze: »Ojcze! Bóg ukarze!
Pomordowanych śniły mi się twarze,
Śniły się w nocy w strasznym, wieszczym śnie.
Ojcze! ty zgubisz i siebie i mnie«.

Lecz Gero powstał, zmarszczył czarną brew
I rzecze groźno: »Myślałem, żeś lew,
A ciebie widzę trwoży jasna stal;
Młodej ci żony i uścisków żal«.
Więc poszedł Sygfryd zbierać lud do wojny,
A Geron usiadł i dumał spokojny.

A gdy na zamek spadła noc,
Stanęła rzędem grafa moc,
Stanęła licznie po rozkazie;
Od stóp do głowy lud w żelazie.
I rżą rumaki biedz gotowe;
Tylko graf Sygfryd spuścił głowę.
W oknie go płacze żona młoda:
Szkoda mu żony, lat mu szkoda,
Lecz Gero skinął, skoczą wraz,
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,
Od okna biała
Chustka powiała...
Powiała może ostatni raz.

I lecą: palą grody, wsie,
Do grafa kolan lud się gnie,

A którzy klękną, już nie powstają:
Mężów, — Gerona knechty ścinają,
Dziatwę i żony gonią w plon —
Tak graf buduje sobie tron.

A gdy już w Odrę mieli skoczyć wpław,
— »Sygfrydzie! synu! — rzecze dumny graf,
Coś tak posępny, czego stronisz mnie?«
— »Pomordowanych znów widziałem w śnie!«

— »Ha, ha! to dobrze, dobrześ, synu, śnił.
Jutro Lach będzie u nóg mi się wił«. —
A Sygfryd rzecze: »Ojcze! Bóg ukarze!
Pomordowani mieli groźne twarze!«

Lecz graf nie słucha. Spiął się pod nim koń,
Pognał przez pola, skoczył w modrą toń,
Szeregi za nim śród spienionych fal.
Dobili brzegu. Gero wznosi stal
I woła: »Synu! jutro z Lachem boje!
Jutro królestwo oddam w ręce twoje!«

Rozbili obóz; zaszła cicha noc,
Graf się zadumał, waży swoją moc.
Sygfryd obchodzi obozowe straże,
Radby zapomnieć pościnanych twarze,

I usnąć radby, lecz się lęka śnić.
Usnęli...

Rankiem zorzy złota nić
Obiegła mgłami zaciemniony wschód
I budzi obóz u odrzańskich wód.
»Synu! graf rzecze, czemu patrzysz w dal?«
»Patrzę, jak w zorzy błyszczy Lachów stal!«
»Gdzie? pokaż? wzrok mój mroczy się od snu«
»Patrzaj, mój ojcze, zbliżają się tu«.

»Na koń! — graf krzyknął, — Lachów książe sam
Do kolan dzisiaj pokłoni się nam!«

I stają męże. Gero stawia szyki,
Z borów wychodzą lackie wojowniki;
Oblani zorzą, wznoszą jasną broń,
Piękny, dorodny każdy mąż i koń.
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona;
Przy Mieszku z orłem chorągiew czerwona.

»Naprzód! Sygfrydzie, nie długi tu trud!« —
Zawołał Gero — i już zwarł się lud:
Skruszyli kopje, miecze chwycą wraz,
W tarcze i w hełmy wiodą silny raz;
Skruszyli miecze, chwycą za topory;
Szczęk się rozlega przez pola i bory.

»Ojcze! Geronie! ciężka z Lachem gra,
Dzielnie Lach walczy, twarde ramię ma«.
»Tem większa sława dla nas, synu mój!
Koronę da nam ten rycerski bój!«

I poskoczyli do boju ochoczo,
Pewni, że z Lachów wszystką krew wytoczą.

I znowu rzecze Sygfryd: »Tu nam kres!«
»Nie! nie! mój synu! Lacha weźmie bies!«
I znowu walczą, lecz wtem pęka szyk:
»Sława Mieszkowi!« Lachy wznieśli krzyk
I tną Germanów toporami w koło;
Gero i Sygfryd jeszcze stawią czoło.

Lecz wtem: »Sygfrydzie!« jęknął graf i zbladł,
Pod ciosem Mieszka młody Sygfryd padł,
Padł z rozłupaną wpół toporem głową
I krwi się oblał strugą purpurową.
O grafie! jakaż boleść ciebie zgina,
Innej purpury chciałeś ty dla syna.

I w drżące ręce syna chwycił graf,
Skoczył do Odry, przebywa ją wpław;
Za nim rycerstwo, knechty skoczą w toń,
Resztę tnie w polu sroga Lachów broń. —

Tak się skończyła wyprawa Gerona,
Tak go minęły sława i korona.

A kiedy wrócił: zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub;
Potem dla syna wymurował grób
I wraz z synową klękał na tym grobie
I płakał rzewnie i złorzeczył sobie.

1862 (?)

Sen Pana Bowblewicza.

O porannej godzinie
Na Kiejdańskiej równinie
Stała młodzież wileńska pod bronią.
O staj małą od wiary
Stali dońce — ogary
I piechota — cyt! trąbki już dzwonią.

Moskwa ogień poczyna;
Drży od huku równina,
Ale naszym ładunków nie staje:
»My z bagnetem bezpieczni; —
Na bagnety! waleczni!«
Gronostajski*) wnet rozkaz wydaje.

---

*) Gronostajski i Klimaszewski, obaj byli profesorami szkół wileńskich, naczelnikami spisku młodzieży tamże, a później w powstaniu r. 1831 dowódcami korpusu wileńskiego. O wypadku Bowblewicza wspomina Spacier. *(przy aut)*.

W ciasny szereg się skuli,
Poszli, strzelców wykłuli;
Pan Bowblewicz, ochotnik na przedzie,
Krzywd uniesion odwetem
Za trzech kłuje bagnetem,
Śmierć roznosi w żołdaków czeredzie.

Raźno z bronią się zwija,
Tych na wylot przebija,
Tamtym kolbą rozwala paszczęki.
Lecz się zachwiał — o! biada!
Pan Bowblewicz upada,
Broń mu z drżącej usuwa się ręki.

Niechże w Bogu spoczywa,
Jego dusza szczęśliwa
Pośród śpiewań anielskich na wieki.
Gdy się młodzież cofała,
W porę śmierć go spotkała —
Ale... cicho! — otworzył powieki.

Nie! to tylko się zdało,
Już w nim serce skostniało,
Z żalem młodzież zostawia go w polu.
Dziesięć razy w pierś pchnięty,
Dwakroć szablą w twarz cięty;
Krew spłynęła, — zgasł wiarus bez bolu.

I ucichły pogonie;
Noc się spuszcza na błonie,
Księżyc liczy poległych z wysoka.
Nim go ranek zagasi,
Liczy, srebrem ich krasi,
A na polach w krąg cisza głęboka.

Przebóg! czy to złudzenie?
Czy księżyca promienie
Budzą zmarłych? — Bowblewicz powstaje.
Jego oczy natchnione,
Jego lico zdumione, —
Patrzy — duma; gdzie jest, nie poznaje.

Patrzy, dziwi się, słucha;
»Zkąd ta — rzecze — noc głucha?
Morze światła widziałem przed chwilą.
Czy mi oczy blask strudził?
Czym ja ze snu się zbudził? —
Nie! to nie sen — to oczy mnie mylą«.

Myśli... A wtem po błoniu
Pędzi Moskal na koniu,
Pan Bowblewicz karabin porywa;
Otarł, nabił, przykłada,
Mierzy chwilę, strzał pada —
Kula piersi Moskala przeszywa.

Rumak stanął jak wryty.
Moskal strzałem zabity
Miał depesze — Bowblewicz je bierze,
Siada na koń i goni...
— Cyt! litewski róg dzwoni,
»Ha! to nasi nocują żołnierze!«

Prosto w obóz więc wali...
»Wszelki Boga duch chwali!«
Woła czata, zoczywszy przybysza.
»Milcz waść!« — jeździec odrzecze —
»Ja żyw jestem, człowiecze,
Jam Bowblewicz; poznaj towarzysza!«

Cały obóz powstawa:
»Zkąd ty?« »Witaj!« grzmi wrzawa —
»Jakżeś trupów porzucił waść rzeszę?«
— »Wracam z nieba, więc z dala.
Zastrzeliłem Moskala,
A to — rzecze — zdobyte depesze«.

Oddał, z konia zesiada
I tak dalej powiada:
»Towarzysze! nie śmiejcie się — proszę!
To nie żarty, nie baśnie;
Niech mi wzrok mój zagaśnie,
Że niebieskie widziałem rozkosze!

»Kiedym upadł w krwi własnej,
Świat otoczył mnie jasny,
Czarujące owiało mnie pienie;
Aniołowie mnie wzięli,
W niebo ze mną lecieli,
W jasne niebo, na wieczne zbawienie.

»Ktoż te cuda opowie?
Są tam nasi wodzowie,
Męczennicy i króle i święci;
Naród liczny jak fala —
Lecz żadnego Moskala
Nie widziałem; znać wszyscy przeklęci.

— »Witaj! — na mnie wołali.
Niejednegoście znali,
Których ja tam zdybałem niesiony.
Bezmiar szczęścia w niebiosach;
Nasze dziewki we włosach
Z białych lilij tam noszą korony.

»Wtem bacz! rzesza nadchodzi:
Sam Kościuszko rej wodzi;
Patrzę — lico jak słońce mu pała.
Ustępują się pany,
Kłaniają się hetmany,
Bo ta rzesza za Polskę krew dała.

»Dziatwa w Pradze wyrżnięta
Do Kościuszki rączęta
Wznosi, rany wskazuje na szyi.
On główeczki im gładzi,
Potem zbiera, prowadzi
Do najświętszej Panienki Maryi.

»Panna Orła z Pogonią
Pokazuje im dłonią,
Słodko mówi o naszej przyszłości.
A ta przyszłość — o! Boże —
Wielka, jasna jak morze,
Pełna chwały i Twojej światłości.

»Tam to wszystko widziałem —
Na twarz z rzeszą padałem...
Czemuż zostać nie mogłem tam z nimi?!
Lecz nie! lepiej żem ożył;
Ot Moskala'm położył,
Znać'em jeszcze potrzebny na ziemi«.

1862.

Sierociński (?)

Fragment.

Witaj mi, ziemio dzika sybirskich rozdroży!
Ziemio pustyń, gdzie pała blask północnej zorzy;
Gdzie słońce dnia się lęka i kryje się w mroku,
Jak człowiek z myślą świętą — od carskiego wzroku;
Gdzie życie, tętno życia na wiek wieków skrzepło,
I tylko pierś wygnańca żywi bolu ciepło.
Witaj, ziemio! gdzie w śniegów i wichrów zawiei
Wiecznie słyszy wygnaniec: »Tu nie ma nadziei«
I jak Prometej wtóry, do skały przybity,
Sępa ma z własnej myśli, co w nocne błękity
Podrywa się i spada na pierś, — lodem ścięta...
Witaj, smętny Sybirze! dla mnie ziemio święta!

Tam na Tobolskiej górze, u Irtyszu wody
Stoi pomnik kozaka, co krwi i swobody
Napiwszy się, kark w jarzmo dobrowolnie włożył
I rzekł carom: »Jam piekło dla świata otworzył.«
Hańba mu! Tam syn Polski z ojczyzny porwany
Klnie głuszące jek ducha stepów huragany,

I oczy ołzawione utkwiwszy w strop szary,
Szuka Boga, co patrzy cierpliwie na cary;
Tam zdaje mu jęk Polski, zemstę i ból łona,
I słania się i w stepie niepłakany kona.
Ach! kto was tam odszuka i po jakim tropie?
Kto wasze święte groby z pod śniegu odkopie?
Kto zgadnie? Komu niebo da tyle miłości,
Że natchnieniem przeczuje, gdzie śpią wasze kości?!
Lecz z umarłymi cisza i sen nieprzespany!
Gdzieś na lodach północnych milczy wiatr skowany...
Tu wiosna buja kwieciem, a nad bystrą rzeką
Stanął obóz kozacki... Szeroko, daleko
Rozbiegły się rumaki po zielonej trawie,
A kozacy usiedli, marzą o wyprawie.
Na błękitach wrzask ptactwa, w lasach barć się roi,
Kirgiz jurty pozwijał i step niepokoi...
Dziś król stepów, w step jutro, ginąc, zęby wgryzie!..
A ty, carze? ty ziemie weźmiesz po Kirgizie,
I sławę dasz kozakom za łup i za plony...
Hej! gdyby tu nie Irtysz, lecz Dniepr, brat rodzony!...
Górą krążą orłowie — wiedzą, co tak boli
Zaprzedanych carowi za sławę niewoli.

Ale car wie, czem dzikie uspokoić łona:
Pękła między drużyną beczka wytoczona;
Zapili ból — i cisza. Gdy noc strop zasuwa,
Otuleni burkami usnęli; straż czuwa,
Świśnie czasem na konie, a te rżą na błoni
I lecą na pieszczoty do znajomej dłoni,

I śpiących obwąchują; kto usnąć nie może,
Szepce pacierz, lub ostrzy zakrzywione noże.

Co będzie, jeśli kiedy dzicz się ta ocuci?
Pioruny drzemią w sercu, co się długo smuci.
Ach! ale nim się zbudzą; nim wolność lud zbawi,
Ileż jeszcze serc wielkich skruszy car i skrwawi!...
To i cóż? z nich dla Boga hymny wiecznej chwały —
Serca te napiętnował ogniem anioł biały;
I potąd im tu goreć — potąd wrzeć tęsknotą,
Aż znajdą śmierć szlachetnych, a świat wolność złotą.
Lecz cicho!... Ty, Kirgizie, pierzchaj stepy twemi!
Kozactwo jeszcze woła: »Hurra! car — bóg ziemi!«
A car zgubę ci przysiągł za wolność na stepie,
Umykaj, pokąd ciemna noc na niebios sklepie.
A tam, kędy się Irtysz załamał na skale,
Złoci ogniem, co skrasił rozhulane fale,
Usiedli dwaj kozacy przy smętnym wód szumie,
Poprawili ogniska i toną w zadumie.
Młody — jasne miał oczy — kołpak z głowy zrzucił,
Czoło wsparte na dłoni myślami osmucił
I stała mu się z smutku twarz jak marmur biała,
Umarła na uśmiechy... w oczach tylko pała
Żar, którym serce żyje i szaleje w łonie;
Młody wzrokiem i duszą w złotym ogniu tonie.
A zaś starszy na szabli prawą rękę trzyma,
Na wschód — w stepy bezbrzeżne pogonił oczyma,
Za oczyma myśl puścił, myślą stepy waży,
Ściga pewnie Kirgiza i o łupach marzy.

Ale niechaj się Kirgiz myśli tej nie lęka:
Nie przelała krwi ludzkiej nigdy jego ręka.
Dziś u pasa ma szablę, ma kozackie noże,
Lecz przed laty tam w Polsce, w owruckim klasztorze
W ręku jego się wznosił Pan ukrzyżowany...
To przeor Sierociński w kozaki zagnany.

Tak na duchu szlachetnym mszczą się dzikie cary!...
Cichy był, serce jego wrzało ogniem wiary,
W monasterze lud żegnał — dziatwę uczył w szkole;
A czuł, że Bóg dla Polski wielką chowa dolę.
I nieraz, w step zaszedłszy z rzeszą swych aniołków,
Siadał z nimi u mogił, lub z mogił wierzchołków
Wskazując zasłuchanym w stepie Dniepr daleki,
Wołał: »Chrobry tam słupy wbijał do tej rzeki.
To jest wasza granica, dzieci, potąd carom!«
A gdy wiosna, rad wiośnie i dziecinnym gwarom,
Do wojaczki bywało zaprawia orlęta.
Tak go tam serce ludzkie ze czcią zapamięta.
Lecz nad wszystko dzień pomną, gdy mu gość z War-
[szawy
Przyniósł wieść o powstaniu i dniu polskiej sławy...
W dniu tym były nieszpory... mnichy u ołtarza
Biły pokłon i psalmy śpiewały z brewiarza,
Wtem gość podał mu kartkę, — on z niej wieść
[radośną
Przeczytał, na krzyż spojrzał, rozpłakał się głośno
I w górę drżącą ręką wzniósłszy ten krzyż Pana,
»Polska wstaje!« — zawołał i padł na kolana.

A potem jak apostoł wstał duchem natchniony
I czuł, że słowem będzie w proch rozwalać trony.
I pamiętna tam ludziom ta dłoń wyciągnięta,
Z której na głowy mężów lała się moc święta;
I głos budzący duchy w noc nieraz tak dzwoni,
Że zerwą się, — lub przez sen wołają: »do broni!«

I strasznym wnet carowi stał się mnich natchniony:
Słowami jego grzmiały spiże, — biły dzwony;
Więc kibitki car Moskwy posłał po przeora
I porwano od cerkwi bożego znachora,
Zbiry habit zeń zdarli — czerńcy sakrę zdjęli,
Dali spisę i konia, z kozacka odzieli,
I uniósł car to serce od Dnieprowej wody
I cisnął na przepadłe na sybirskie lody.
A za nim iluż jeszcze, gdy umilkły działa?
Służba carów — szlachetnym dola znów skłamała!
Rozlecieli się światem... któż drogi oznaczy,
Co nie znają łez polskich, i łez i tułaczy?!...
Ale to nie ostatnie z ziemi tej ofiary:
Wolność polską car złamał, lecz nie złamie wiary.
A z tą — gdy dzień nasz błyśnie... licz godziny,
[Carze!

Na koniu od Kirgizów nocne pełni straże
Sierociński z kozactwem, i pierś jego smętna.
Monasterem dlań puszcze; lecz bożego piętna
Nie zdarła mu dłoń carska z czoła ani z duszy;

Tu berło samodzierżcy jak próchno się kruszy.
Nieszczęścia nie schyliły poświęconej głowy,
Zostawiły ślad tylko: — nad brwią mars surowy.
Lecz w oczach, niech car spojrzy, a zadrży raz jeszcze,
Tam płonie duch — a z ducha lecą blaski wieszcze...

Tu dla smutnych wygnańców on aniołem ciszy.
Na sybirskich pustyniach, tu śród towarzyszy
Dzikich jako ich stepy, cierpieniem nie złaman,
Wzrokiem rozkaz da czasem, jak boży ataman. —
Nieraz kozak wyręczyć chce go w nocnej pracy,
Nieraz przyjdą i proszą o pacierz żołdacy,
A kiedy straż zadrzemie, — gdy noc step zasnuje,
Zbliża się ukrainiec, rękę mu całuje
I mówi: »Swiaszczenniku!« pyta go: »Neszczasny!
Za co ty tu? W tej piersi mieszka anioł jasny.
Takiego raz anioła miała Ukraina
Na chorągwi, taj car wziął... przeklęta godzina!
Taj odtąd jak anioła chorągwi nie stało;
Wchodzi takich aniołów wielu w ludzkie ciało,
Taj płacze, mówią ludzie«... I jak dziecko kwili
Carski kozak, nie kozak, lecz człowiek w tej chwili.
A nawet asawuli, duszą jak czart szpetni,
Na grzbiet tego człowieka nie śmią podnieść pletni.
Wściekli, spojrzą mu w oczy i cofają kroku,
Jakby się z bożym sądem zdybali w tym wzroku.

Odkąd wiosna na polach, co noc tu przychodzi,
Ztąd widno mu, jak księżyc nad stepami wschodzi,

Tu się modli, przed Bogiem rany tu odkrywa;
Gdy zaduman, tu Irtysz myślom jego śpiéwa.
Dzika pieśń Irtyszowa, — smutno życiu wróży,
Ach! a cóż gdy w pustynie sercem się zanurzy?
Gdy duch jego tam patrzy, w te okropne dzieje,
O których wie Bóg tylko i car i te knieje!...
Ale dość już tej w łonie tłumionej rozpaczy?
Puszcze! stepy! wy dziś nań wołacie inaczej,
»Wstań!« wołacie, — on ku wam jak na głos anioła,
Śle oczyma myśl z ducha, co o gromy woła;
I sam wstrząsł się, że myślą pali tak i błyska,
Ścisnął szablę w prawicy — pierwszy raz ją ściska.
Lecz od tego ściśnięcia długo ćmione dolą
Spłomieniły się oczy jego taką wolą,
Takie patrzą natchnione, że na ich żądanie,
Zda się, dawno umarły Bar tu zmartwychwstanie.
Błogosławcież mu z grobów smutni, męczennicy,
On za was i za swoich uścisk dał szablicy.
Carska szabla. Twa dłoń mu podała ją, carze!
Lecz gdy on nią przeżegna sybirskie cmentarze,
Ty go przeklniesz!... Mgła ranna wstała z fal Irtysza.
Sierociński obrócił wzrok na towarzysza
I zadrżał, bo ten jak trup szklanne miał spojrzenie,
A tak patrzył zuchwale, tak dziko w płomienie,
Jakby tam serce jego, dusza wraz nadzieją
Gorzały, a on czekał, aż w nich spopieleją.
Więc jak dziecko, co we śnie nad przepaść się słania,
Pocałunkiem młodzieńca obudził z dumania.
A potem rzecze słodko: »Sokole mój złoty,
Smutno mi, bo szalejesz z bolu i tęsknoty.

Czegoż Bóg cię tu rzucił pod sybirskie nieba?
Polski tobie — pieśniarzu — i niw jej potrzeba.
A tu marnie mi więdniesz, tu niemiejesz bolem
I chodzisz smutnie jak cień elizejskiem polem.
Słuchaj, — czujesz ty w sobie jeszcze iskrę ducha?
Ma głosy dla twej pieśni ta pustynia głucha,
A jeśli nie dla pieśni, toć szabla u boku
I koń. Bracie! my będziem wolnymi do roku.
Potem się doń przychylił, szeptał o kozakach,
O Tatarstwie gotowem na kirgizkich szlakach,
O wygnańcach ziem polskich i rzekł mu: »wstańmy synu,
Ból dojrzał, łzy dojrzały — Bóg daje dzień czynu«.
Ale młodzian odpowie: »Na Auzonów ziemi
Mistrz wielki raz uniesion snami proroczemi
Obaczył dno piekielne i pieśń o tem złożył.
Patrz, ojcze, jak Bóg dla nas to piekło odtworzył!
Nie ma ztąd ocalenia! Ty mówisz o czynie?
Jam gotów! — Pod tą skałą Irtysz bystro płynie!«
Lecz przeor dłoń mu ścisnął i utkwił weń oczy
I długo pił z tych oczu sokół blask proroczy,
Aż przejęty ich mocą kląkł zalany łzami.
Przeor ręce nań złożył i rzekł: »Bóg nad nami!«
. . . .
. . . . , . . .

KONIEC.

Spis przedmiotów

IV. Tomu.

